

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Redaktor naczelny TADEUSZ SWIĘCICKI

Prenumerata w Polsce:
miesięczna 2 zł. 75 gr.
kwartalna . 7 „ 50 „
półroczna . 15 „ — „
roczna . . 28 „ — „
Numer pojedyńczy 75 gr.

W Ameryce:
półroczna . 6 dolarów
roczna . . . 12 „
Naczelny redaktor przyjmuje codziennie od g. 10—12 przedpoł.
Rękopisy i fotografje redakcja zwraca tylko na żądanie.

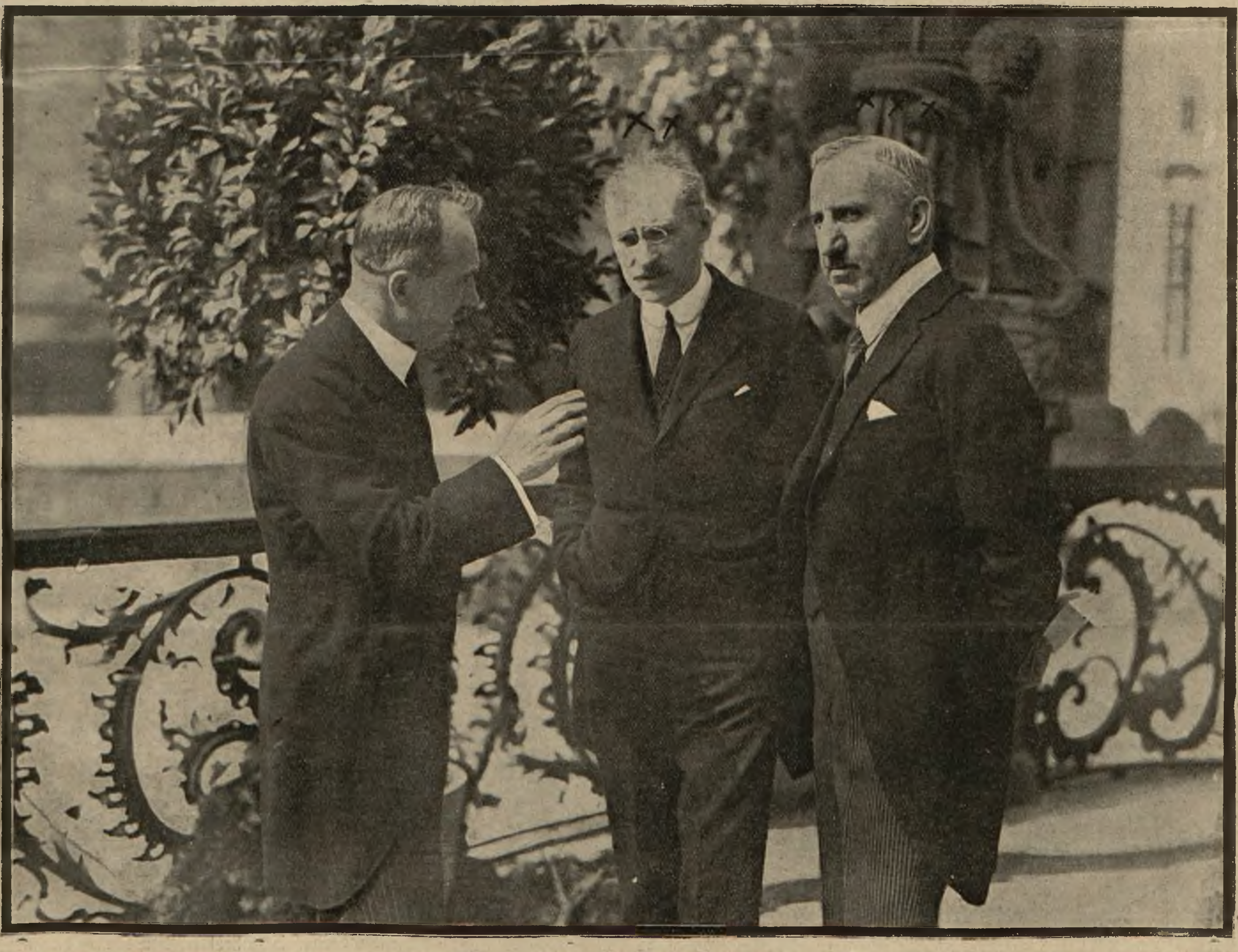
Konto P. K. O. Warszawa Nr. 140.260
Konto P. K. O. Kraków Nr. 400 519
Konto w Banku Związku Sp. Zarob. Oddział Kraków

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Rok XXI. Kraków, 19 lipca 1924. Nr. 29.

Po zjeździe Małej Ententy w Pradze



Ministrowie spraw zagranicznych Czechosłowacji, Rumunji i Jugosławji, odbywają naradę na terasie czeskiego ministerjum spraw zagranicznych w Pradze. Jak widać z fotografji minister Duca niezbyt jest zadowolony z żywych wywodów P. Benesza, którym przysłuchuje się z uwagą P. Nincič.



Konferencja Małej Entety w Pradze 11 lipca 924 r. na tarasie M. S. Z. czeskiego w Pradze: Grupa przedstawicieli państw Małej Ententy, (od lewej ku prawej): Min. Duca, pani Benesz. minister Ninčič, min. Wewerka, poseł Czechosłowacji w Bukareszcie, pani Duca, min. Benesz, Nesič, poseł S. H. S. w Pradze, pani Ninčič, Ivkovič, szef biura prasowego min. spr. zagr. S. H. S., pan Gavrilovič sekretarz stanu w min spr. zagr. S. H. S. i Seba, poseł Czechosłowacji w Belgradzie.

Po konferencji Małej Ententy.

Praga 13 lipca.

Na przededniu konferencji londyńskiej p. Benesz uznał (i słusznie) za rzecz pożądaną zwołanie konferencji premjerów Małej Ententy. Zjechali więc na jego zaproszenie do Pragi p. Nincič minister spraw zagranicznych królestwa S. H. S. i p. Duca minister spr. zagr. królestwa Rumunji.

— Po uroczystych przyjęciach i pierwszej konferencji ukazał się w prasie komunikat urzędowy, stwierdzający — jak zawsze to się robi w tych wypadkach — że związek wzajemny i sojusz okazały się silniejsze niż kiedykolwiek.

W komunikacie tym jednak tak mocno podkreślone zostały „ramy sojuszów“ w jakich Mała Ententa ma zamiar działać nadal, że dzięki temu da się łatwo odczytać między wierszami jakieś niedomówienie, o sprawach, które wyraźnie poza temi „ramami“ zostały postawione. Naturalnie dotyczy to sprawy rosyjskiej. W kołach politycznych wyraźnie mówi się o tym, i w kwestji stosunku do Rosji nie osiągnięto nawet najmniej serdecznego porozumienia.

Czechy i Jugosławja prowadzące wyraźną politykę rusofilską należą tu do jednego bloku z Rumunją, której Rosja grozi odebraniem Bessarabji. I naturalnie — nie mają żadnych zamiarów udzielić nawet platonicznego, moralnego poparcia w tej sprawie swej najbliższej sojuszniczce, która wprawdzie została uznana za właścicielkę prawą Bessarabji ale wobec kolosa sowieckiego co pewien czas dobitnie jej wygrażającego, czuje się mocno nieswojo. Nic więc dziwnego, że o zbyt wielkiej serdeczności trudno jest mówić, szczególniej, jeśli prawdziwe są pogłoski, że p. Benesz poprostu nakłaniał p. Ducę, by Rumunja wyrzekła się choć części swej bessarabskiej dzielnicy.

Do żadnych rozłamów, ani rozbijania Małej Ententy naturalnie nie dojdzie, ale z chwilą rozpoczęcia na Węgrzech akcji sanacyjnej pod egidą Ligi, ów blok p. Benesza stał się automatycznie — mniej zwarty, mniej pewny i mniej potrzebny Jugosławji i Rumunji niż p. Beneszowi, który dzięki niemu wyrasta na potęgę europejskiej dyplomacji.

Tak też i będzie po konferencji praskiej. P. Benesz jako przedstawiciel Małej Ententy znajdzie się teraz napewno w Londynie, i będzie brał udział w regulowaniu kwestji odszkodowań. Czechy mogą więc być spokojne, że interesy ich dobrze będą bronione.

A Polska? — Nas tam nie będzie jak zwykle. Zaniedbaliśmy blok bałtycki, nie zdołaliśmy utrwalić swego dość mocnego jeszcze w Genui stanowiska i będziemy nadal nieobecnymi i w Londynie i w całej polityce europejskiej. *K. G.*



Angielski premjer w Paryżu: Prezydent ministrów Mac Donald wraz z prez. min. Herriotem w korytarzu gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych na Quai d'Orsai w Paryżu.

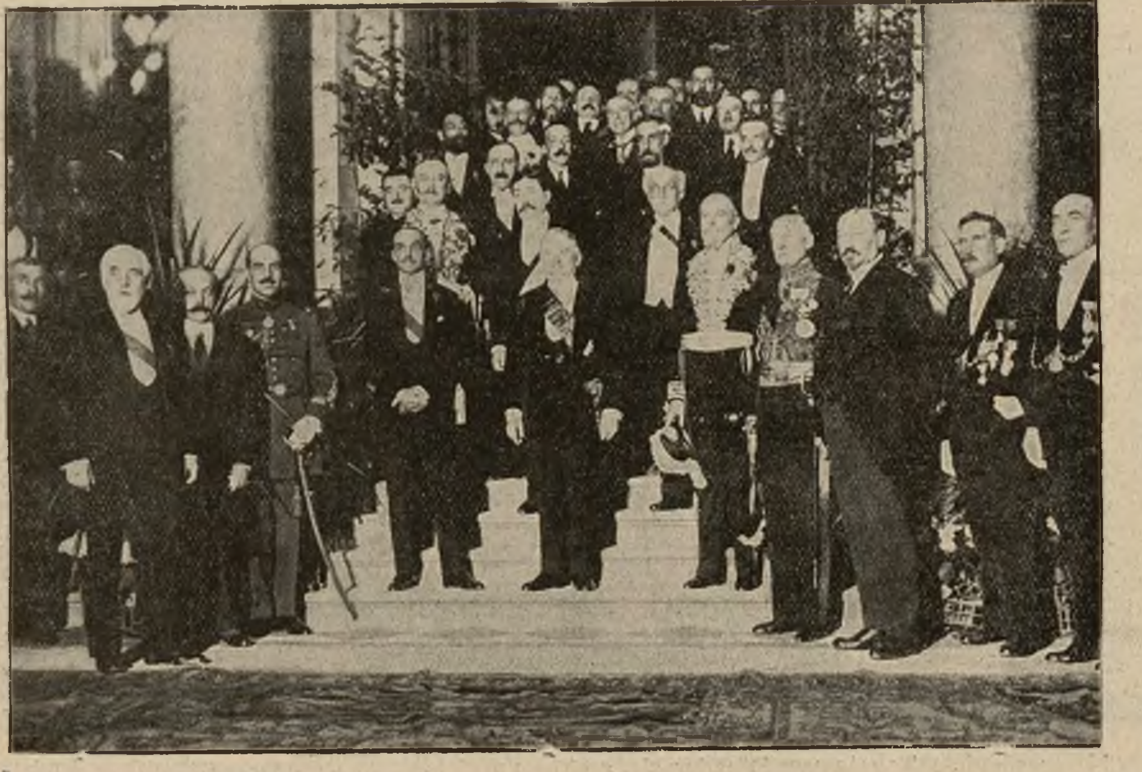
Przed konferencją londyńską.

Czego nie dały różne zjazdy premjerów francusko - brytyjskich jeszcze od czasów Brianda i Lloyda George'a, czego nie dały konferencje germańskie i haskie — do tego dziś się zbliżają Herriot i Macdonald.

Ustalenie nowego, konkretnego planu praktycznego w sprawie odszkodowań, który ma jakoby uzupełnić i sprecyzować — a właściwie zastąpić odnośne części traktatu wersalskiego — weszło na nowe zupełnie tory od czasu planu reperacyjnego generała Dawes'a i dojścia do władzy rządów lewicowych w Anglji i Francji. Decydujące znaczenie dla powodzenia tych nowych planów, opartych na nieoficjalnej sugestji amerykańskiej będzie miała konferencja londyńska, która rozpoczęła się dnia 16 lipca, a poprzedzona została dwoma zjazdami Herriota z Macdonaldem. W związku z tą konferencją już dziś stwierdzić można trzy wyraźnie zaznaczające się znamienne nastroje i objawy.

Rzecz pierwsza — to coraz wyraźniejsze utrwalanie się planu Dawesa, jako niewzruszonej dotychczas podstawy całej dalszej polityki europejskiej w sprawie odszkodowań. Naturalnie, że z faktem tym wiążą się ciche nadzieje na możliwe wciągnięcie Ameryki do trudnej pracy uleczenia ran, jakie życiu gospodarczemu świata, a przedewszystkiem Europy, zadała wielka wojna.

Drugim punktem, który jest napewno wynikiem wstępnych narad premjerów jest uwarunkowanie wszystkich zamiarów — dobitne i podkreślone koniecznością dobrej woli ze strony Niemiec. Dotychczasowa rozbieżność i sprzeczność między Anglją i Francją, brak istotnej wspólnej podstawy ułatwiały Niemcom dotychczasową politykę „dumpingu“ czyli mówiąc poprostu wykręcanie się sia-



Święto narodowe w Paryżu: Prezydent repuliki Gaston Doumerque wraz z przewodniczącym Izby deputowanych i Senatu bierze udział w uroczystym obchodzie 14 lipca — rocznicy Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

nem. Teraz ta podstawa wspólna wobec Niemców istnieje i dzięki temu polityka wykręcania się grozi im o wiele poważniejszym ryzykiem.

Trzeci objaw — najznamienniejszy a możliwy tylko przy daleko idącej ustępliwości francuskiej, — to zapowiedź przerzucenia punktu ciężkości w sprawie odszkodowań z dotychczasowej Komisji Reperacyjnej do odnośnych ciał Ligi Narodów i zrzeczenie się przez Francję samodzielnego stosowania sankcji i uzależnienie ich od nazewnątrz stojącego arbitrażu.

Te ostatnie zapowiedzi są objawem znamiennym nawrotu Europy do idei wilsonowskich. Jeśli urzeczywistnią się one w całej rozciągłości, i jeśli jeszcze na dobitek zwycięży dawne wilsonowskie stronnictwo republikanów — to wówczas zmarły prezydent odniósłby za grobem swym większe jeszcze zwycięstwo, niż przez decyzję swą o udziale Ameryki w wojnie. Jego bowiem idee dziś dopiero wzrastają w potęgę i uzyskują widoki prawdziwego urzeczywistnienia.

Zgon prezydenta Krakowa.

†
Ś. p. Jan Kanty Federowicz.

W niedzielę dnia 13 lipca br. z rana zmarł nagle, w przededniu ukończenia się kadencji jego urzędowania prezydent m. Krakowa ś. p. Jan Kanty Federowicz.

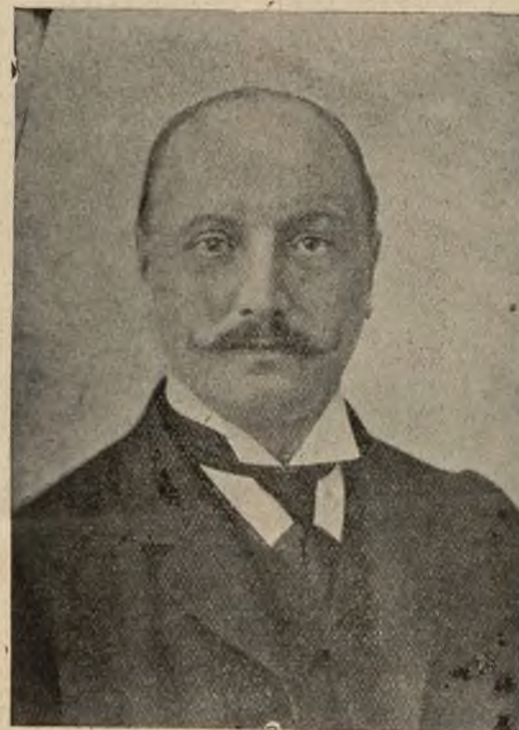
Dziecię Krakowa, urodzony tu w r. 1858 a więc przed 66 laty, odegrał w życiu swego rodzinnego miasta wybitną niezwykle rolę.

Pochodzący z zamożnej rodziny mieszczańskiej, nie zamknął się w kręgu ciasnych interesów zawodowych lecz od dość wczesnych lat wziął udział w życiu społecznem i gospodarczem miasta Krakowa, a później w życiu politycznem narodu.

Przez szereg lat był on najbliższym współpracownikiem jednego z najznakomitszych prezydentów Krakowa śp. Dra Juljusza Leo, pod jego kierownictwem pracował i przez niego desygnowany na następcę i istotnie po zgonie Dra Leo tym jego następcą na fotelu prezydenta w roku 1918 został przez Radę miejską wybrany.

Wybrany w roku 1919 posłem na Sejm ustawodawczy odegrał w nim wybitną rolę jako prezes Klubu Pracy Konstytucyjnej, klubu złożonego z dawnych galicyjskich posłów konserwatywnych i demokratycznych, który z istotną korzyścią dla państwa odgrywał w Sejmie rolę umiarkowanego, łagodzącego „środka", jakiego brak w dzisiejszym Sejmie poważnie się daje odczuwać. Dzięki taktowi swemu politycznemu i zręczności parlamentarnej ś. p. Prezydent Federowicz zdobył dla klubu całego i dla siebie istotnie wybitne stanowisko, umiejąc utrzymać w swym ręku decydujący nieraz wpływ na rozstrzygnięcia Sejmowe. W polityce miejskiej, krakowskiej nie zdobył zmarły takiego uznania jak w Sejmie. Jest to rzeczą zrozumiałą, gdy się zważy, w jak ciężkiej i trudnej sytuacji wojennej musiał on kierować gospodarką Krakowa i jak wybitnego miał poprzednika, któremu równy nieprędko zapewne znajdzie się w Krakowie.

W każdym razie zmarły prezydent pozostawia po sobie szczery żal wśród swych współpracowników i dobre wspomnienie wśród przyjaciół a nawet i przeciwników politycznych, którzy mówią o Zmarłym jako o człowieku z prawdziwym szacunkiem. Zszedł do grobu, a z nim ubyła z życia Krakowa postać popularna i odzwierciedlająca wiernie całe pokolenie.



Ś. p. prezydent miasta Krakowa, Jan Kanty Federowicz.

* * *

Pogrzeb ś. p. prezydenta Federowicza stał się poważną manifestacją. Po eksportacji zwłok z domu zmarłego przy ul. Studenckiej l. 1, której dokonał ks. biskup Sapieha w asystencji ks. biskupa Nowaka oraz licznego duchowieństwa, o godz. 10 ruszył kondukt żałobny pod kościół św. Anny, gdzie złożono zwłoki zmarłego podczas mszy św. żałobnej, którą odprawił ks. prałat Masny. Na środku kościoła ustawiono katafalk wśród zieleni, i kwiecia. Straż przy katafalku objęła straż pożarna. W nabożeństwie wzięli udział: wojewoda Kowalikowski imieniem rządu, minister Al. hr. Skrzyński, b. premier Nowak, imieniem senatu i marszałka Trąmpczyńskiego, wiceprezydenci Rolle, Wielgus, Sare, marszałek powiatu Dr. St. Skrzyński, konsul austrjacki p. Schwimmer, konsul niemiecki bar. v. Han, konsul czeski Sedivy, konsul argentyński, reprezentanci Lwowa i Poznania, Piotrkowa, Katowic, oświęcimia, Wieliczki.

Po odśpiewaniu egzekwij przez ks. biskupa Sapiehę, zwłoki zmarłego złożono na karawanie, przybranym w zieleń wieńców i kwiatów. Wzdłuż ul. św. Anny ruszył kondukt pod gmach magistratu.

Kiedy kondukt stanął pod gmachem magistratu, z karawanu wyniesiono zwłoki Zmarłego. Na mownicę wstąpił wicepr. Wielgus, który w serdecznych słowach podniósł zasługi Zmarłego dla dobra m. Krakowa oraz jego działalność na terenie politycznym. Następnie po przemówieniu wicepr. Wielgusa pożegnał Zmarłego imieniem urzędników magistratu dyr. Dr. Grodyński, poczem orszak żałobny ruszył ulicami Grodzką, Rynkiem, Szpitalną, Basztową i Lubicz — na cmentarz rakowicki, gdzie złożono zwłoki w rodzinnym grobie. Na ulicach, któremi przechodził kondukt, stały tłumy publiczności, zaświecone lampy były przysłonione czarną krepą, a z domów powiewały żałobne chorągwie na znak żałoby miasta całego.



Pogrzeb prezydenta I K Federowicza Wyprowadzenie zwłok z kościoła św. Anny.





Zgon prezydenta miasta:

Wiceprezydent Dr. Wielgus wygłasza mowę pogrzebową

Ks. biskup Nowak kropi trumnę przed magistratem.

Narodowy Zlot Harcerzy.



Skauci z państw obcych.



P. prezydent Wojciechowski na przyjęciu. Wyrażał się on bardzo pochlebnie o zpolnościach kulinarnych harcerek.

W dniach od 3-go do 9-go lipca odbył się na błoniach Siekierkowskich pod Warszawą I-szy zlot Harcerzy z całej Polski przy udziale licznych drużyn zagranicznych.

W ostatnich czasach tak mało pisze się i mówi o skautingu, że ogólnem mniemaniem było, iż skauting, na którego rozwój wojna europejska musiała również oddziałać, zamiera, ustępując miejsca innym organizacjom młodzieży o charakterze wyłącznie sportowym, lub militarnym.

Tymczasem ostatni Zlot wykazał, jak błędną była opinja publiczna i zademonstrował społeczeństwu tak wielki stopień wyćwiczenia fizycznego, a co ważniejsze, tak wysoki poziom ideologiczny, tej najbardziej świetlanej ze wszystkich organizacji, że wprawił w zdumienie nie tylko widzów-polaków, lecz również i reprezentantów państw, gdzie skauting stoi niebywale wysoko.

I teraz widzimy jasno, że nasi harcerze nie krzyczą, nie reklamują się, lecz... pracują. Praca ta, niezmordowana, mrówcza praca wre nieprzerwanie we wszystkich dzielnicach, wychowując młodzież według najpiękniejszych haseł kultury.

Zlot zorganizowany był na bardzo szeroką skalę, a wzięło w nim udział koło 8.000 uczestników z całej Polski; na błoniach Siekierkowskich rozbito ogromny obóz (przeszło 1.000 namiotów).

Przybyli na zjazd przywódcy zagranicznych drużyn zaproszono również i twórcę skautingu, skauta naczelnego całego świata, generała Roberta Baden-Povella, który jednak z powodu nawału pracy przybyć nie mógł, przysłał natomiast przez delegata kapitana Mc. Intyre, serdeczny list, który przytaczamy:

Drodzy Bracia, Skauci Polscy!

Pragnąłbym dać się pociąć na kilka części aby choć jedna z nich mogła towarzyszyć naszym brytyjskim skautom do Warszawy na Wasz wielki Zlot. Wiem, jakiem będzie ważnem zdarzeniem ten zlot nietylko dla Harcerstwa Polskiego, ale także i przedewszystkiem dla tych skautów innych krajów, którym los pozwolił się tam znaleść.

Spodziewam się, że zlot ten będzie nie tylko najradośniejszem w świecie zgromadzeniem skautowem, lecz również przyniesie prawdziwie pożyteczne owoce jaknajlepszego porozumienia i przyjaźni pomiędzy skautami różnych krajów, zgromadzonymi w Warszawie.

Pomyślności i dobrego obozowania życzą Wam Wasi brytyjscy bracia.

(—) Robert Baden-Povell.

Zjazd zaszczycił swą obecnością Prezydent Rzeczypospolitej oraz liczni dostojnicy. Pozostawił on wrażenia niezatarte u wszystkich uczestników i gości i dał możność stwierdzenia, że zdrowe i piękne hasła w szlachetnem społeczeństwie znajdą zawsze oddźwięk i zastosowanie.



Wieża sygnałowa. Wartownik gra poranną pobudkę.



Rzut oka na obóz.



Szkocki harcerz ze swym pośrednikiem wrażeń.



Kuchnia obozowa. Młode gospodie krzątają się koło wieczerzy.



Zajazd „pod Hotentotem". Romantyczny skaut uprzyjemnia sobie trudy obozowe grą na skrzypcach.





Duńska para królewska w Londynie: Król i krolowa wraz z księciem Devonshire. objeżdżają wagonetką wystawę wszechbrytyjską w Wembley.

Abd-el-Krim.

Wódz powstańców w Marokku.

Niemal corocznie w miesiącach letnich, kiedy słońce zapisuje swoją obecność wzmożoną siłą promieni, dzienniki europejskie przynoszą wiadomości o walkach w Marokku. To tamtejsza ludność arabska, buntując się przeciw władzy hiszpańskiej, korzysta z usług najpotężniejszego swego sprzymierzeńca: słońca.



Abd-El-Krim. Romantyczny przywódca powstańców marokańskich.

W czasie kiedy temperatura podnosi się do owej legendarnej wysokości, na której nawet dla południowca europejskiego rozpoczyna się panowanie ognia, w czasie kiedy żołnierz hiszpański, wysłany do Afryki, zwalczany jest najsilnej swojemi własnemi płucami, w tym czasie upalnego gorąca rozgrzewają się także nadzieje polityczne arabów marokkańskich. Rozpoczynają się zaczepki, zbrojne napady i szersze operacje powstańcze.

Główne źródło tych walk znajduje się w gaju boga wolności. Jak każdy naród którego ziemię podbiła dłoń najeźdźców, Maurowie marzą o odzyskaniu niepodległości. Fałszywa linja polityki hiszpańskiej i błędy władz okupacyjnych potęgują niezadowolenie ludności tubylczej.

W takich warunkach poszczególni przywódcy, stojący na czele ruchów powstańczych, są jedynie narzędziami, któremi posługuje się historja. Są oni jedynie akuszerami wypadków, nie ich ojcami.

A jednak osoba ich nie jest bez znaczenia dla *przebiegu* wypadków. Sposób w jaki one się rozgrywają, doniosłość jaką one osięgają, zależą od osoby przywódców. Jeśli od trzech lat nastrój powstańczy Maurów utrzymuje się w stanie ciągle wzrastającego natężenia, to należy to przypisać indywidualności Abd-el-Krima i osobistym pobudkom, z których jego dążenia wolnościowe czerpią nieprzejednanie i siłę.

Hiszpańscy znawcy Marokka opisują w sposób rozmaity osobistość Abd-el-Krima. Nie brak takich którzy uważają go za postać farsową. Głośny przywódca maurytański jest dla nich typem wulgarnym, zawdzięczającym wszystko szczęściu. Fakta nie potwierdzają tej opinji. Proporcje jakie przybrało powstanie z r. 1921, nie mogły być dziełem nikłej indywidualności.

Abd-el-Krim jest niewątpliwie jednostką wybitną. Nie jest on bynajmniej prostakiem. Przeszedłszy w Hiszpanji studja inżynierskie, odbył podróż po Francji i Niemczech. Mówi płynnie po hiszpańsku, francusku i niemiecku. Jeśli kultura europejska nie przeniknęła go głębiej, to w każdym razie nie jest mu ona zupełnie obcą.

A zalety jego rasy utrzymały się w nim żywe. Nie tylko te których wymaga jego działalność polityczna, lecz także zalety prywatne, „ludzkie". Mimo bezwzględności z jaką prowadzi akcję zbrojną przeciwko wojsku hiszpańskiemu, nie dopuszcza się nigdy okrucieństw na przeciwniku. Jakaś rycerskość cechuje wszystkie jego słowa i gesty, które przypominają często stare hiszpańskie romanse opiewające szlachetność jaka ongiś charakteryzowała wzajemne walki rycerzy katolickich i maurytańskich. Interesującym jest list, który Abd-el-Krim napisał do jedego z przjaciół hiszpańskich w najgorętszei fazie powstania. Ów przyjaciel zapytywał go o los niejakiego p. Aguirre, pojmanego przez Maurów do niewoli. Warto przytoczyć główną część tego listu. Oto ona:

„Kochany przyjacielu: Cieszę się niezmiernie że mam Cię tak blizko naszych ognisk; żałuję tylko że nie mogę uścisnąć Twojej dłoni i podzielić się z Tobą wrażeniami. Pan Aguirre jest nieco słaby i jakkolwiek interesuję się wszystkimi oficerami hiszpańskimi których mamy tutaj, pana Aguirre uważam za mego przyjaciela, ponieważ jest Twoim przyjacielem".



Raisuli głośny bandyta, t. zwany „miecz pustyni".

Nie uwierzył by nikt, że ten list był pisany w najgorętszej fazie walki. Niema w nim ani śladu nienawiści do „wroga". Jakieś nieprawdopodobnie kulturalne wzniesienie się ponad poziom chwili znać na tych kilku zdaniach afrykańskiego powstańca, i głębokie wzruszenie musi ogarnąć każdego przy czytaniu wyrazów przyjaźni, w takich warunkach niezmiennie ponawianych.

Nie wszyscy przywódcy maurytańscy odznaczają się uczuciami o tak szlachetnym kruszcu. Znany Raisul posiadał wszystkie cechy szefa bandy zbójeckiej. Toteż jeden z błędów, popełnionych w Marokku przez władze hiszpańskie, polegał na przeoczaniu indywidualności.



Twierdza w Amulach w Marokko: Jeden z najważniejszych punktów oparcia wojsk powstańczych.



U bram pustynnego miasta *Ara-ben-Nir*, gdzie wycięto w pień załogę Hiszpanów.



Komitet Słowiański w Paryżu. Członkowie Komitetu: p. Hlavacek (Czech) p. Fedorow (rosjanin b. minister Handlu, p. Zonkicz (Serb), p. Zalesk (Polak) i p. Bainow (Bułgar) z Władysławem Mickiewiczem na czele.

W czasie pewnej zasadniczej rozmowy jaką jeden z generałów hiszpańskich odbywał z Abd-el-Krimem, potraktowano tego oświeconego Maura w sposób zastosowany do bandytów marokkańskich. Wśród wyniosłych obelg generał spoliczkował Abd-el-Krima, kopnięciem nogi wyrzucił go za drzwi i kazał osadzić w więzieniu. Siedział w niem Abd-el-Krim niedługo. Jego rodacy ułatwili mu ucieczkę. Kilka tygodni później głos Abd-el-Krime był trąbą powstania, przy której dźwiękach dumny Maur szedł zmywać we krwi swoje niedawne upokorzenie. Podszepty zemsty osobistej zalewały pianą namiętności hasłe zbiorowe, które rzucał w gorące powietrze swego kraju. T. P.

Komitet słowiański w Paryżu.

Paryż, 4. lipca 1924.

Dzięki wytrwałym i ofiarnym zabiegom grupy Słowian zamieszkującej Francję i reprezentującej wszystkie narody słowiańskie utworzył się w Paryżu komitet słowiański (Comité Slave en France), który za cel swojej pracy wytknął sobie dążność ku urzeczywistnieniu ideału solidarności słowiańskiej.

Przy udziale najwybitniejszych czeskich, jugosłowiańskich, bułgarskich, rosyjskich i polskich przedstawicieli sfer politycznych, naukowych, artystycznych i przemysłowo-handlowych, zamieszkujących Paryż, odbyło się 2 lipca w salonach Cercle de la Renaissanse Francaise posiedzenie inauguracyjne, na którem komitet wygłosił swoją deklarację oraz przedstawił program swojej przyszłej pracy.

Tak deklaracja, jak i oświadczenia mowców poszczególnych narodowości wskazywały na dobę obecną jako najodpowiedniejszą dla szerszego, przyjaznego zbliżenia się do siebie narodów słowiańskich, które wyzwolone z pod przewagi mieca i ducha germańskiego uzyskały już wszystkie — z wyjątkiem jednych tylko Łużyczan — swoje własne, niezawisłe ognisko życia narodowego, powinny drogą ciągłej wymiany myśli i wzajemnego poznawania się dążyć do urzeczywistnienia ideału, który przyświecał Gundulić'owi, Križanić'owi i Obradowić'owi — wśród Jugosłowian, Żinziowi i Karavelowi — wśród Bułgarów; Kollár'owi, Šafařik'owi i Palacký'emu — wśród Czechosłowaków, Woroniczowi, Mickiewiczowi i Bohdanowi Zaleskiemu wśród Polaków.

Imieniem Polaków przemawiał p. Zygmunt Zaleski podkreślając doniosłość takiego zbliżenia się dla Polski sąsiadującej z dwoma narodami słowiańskiemi i udowadniając gorącą, tradycyjną dążność Polaków do załatwienia wszystkich zatargów w duchu przyjaznym. W końcu wyraził mowca hołd dla Francji wspaniałomyślnej i naturalnej sojuszczniczki wszystkich narodów słowiańskich.

Profesor instytutu słowiańskiego Sorbony, Francuz, p. Mazon wykazał w świetnym odczycie, że tylko zalety solidarności, wzajemnej życzliwości oraz tej „caritas", o której już jeden z najstarszych dokumentów przyjaźni słowiańskiej (Akt unji Horodelskiej) powiada, że „ucisza spory, rozprasza nienawiści, znosi urazy i niesie wszystkim ludom pokój owocny" potrafią 200 miljonom Słowian w Europie zapewnić rolę odpowiadającą ich liczbie i ich żywotności kulturalnej.

Dziękując obecnym delegatom i gościom za liczne zjawienie się zwrócił prezez komitetu p. Hlaváček uwagę zebrania na obecnego p. Władysława Mickiewicza jako najstarszego wiekiem i najbardziej zasłużonego członka komitetu, godnego spadkobierce idei swojego wielkiego ojca.

Wyrażając nadzieję, że wzniosłe i szlachetne dążenie grupy Słowian zamieszkującej Francję znajdzie głośne i radosne echo i poparcie we wszystkich ojczyznach słowiańskich, zamknął p. Hlaváček wśród długich, niemilknących oklasków zebranych oficjalną część posiedzenia.

Sokolstwo Polskie we Francji.

Sokostwo Polskie na emigracji, dochodzące do liczby 5-ciu tysięcy, stanowi część składową Zwiazku Sokolstwa Polskiego w Polsce jako Dzielnica VII-ma na podstawie uchwały Zjazdu Rady Dzielnicowej z d. 2. 3. 24, która to uchwała została aprobowana przez Przewodnictwo Związku w Polsce.

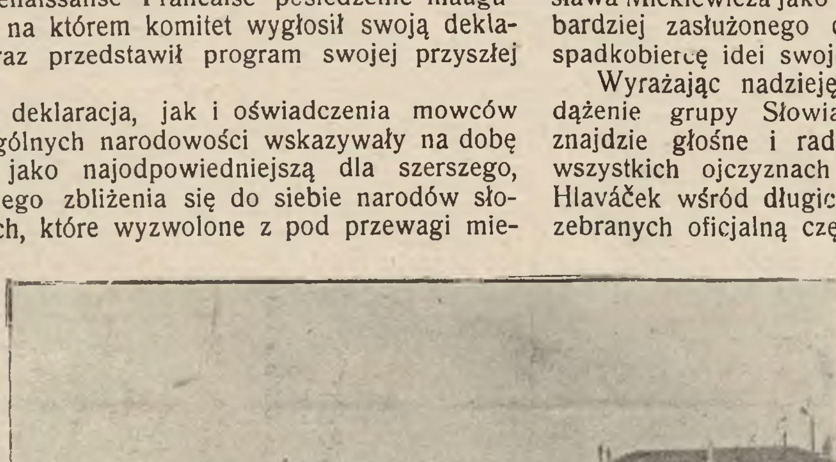
DzielnicaVII. powstała właśnie w czasie najbardziej stosownym i korzystnym dla imienia polskiego, gdyż w tym roku wypadła VIII. Olimpiada w Paryżu. Sokolstwo zaś Polskie we Francji wystąpi na niej do świczeń lancami reprezentując w liczbie 100—120 dhów cały Związek Sokoli Polski.

Obecnie zaś pojedyncze Okręgi urządzają u siebie Zloty Okręgowe i Zawody, chcąc się dobrze przygotować do światowego występu. I tak: Okręg V. odbył Zlot w d. 18. 5. 24, Okręg III i IV. w d. 8. 6. 24, jeden w Alzacji, drugi w poł. Francji, Okręg zaś I-wszy w d. 15. 6. 24 w Hersin-Coupigny, co wskazują załączone dwa zdjęcia.

Jedno z nich to powitanie przed dworcem w Hersin-Coupigny przez Okręg I. Władz Dzielnicowych w osbach: dha Grzony Prezesa Dziel. VII. i dha Sławińskiego, Naczelnika Dziel. VII. i wręczenie im bukietów przez młode sokolice w dowód uznania ich pracy.

Drugie zdjęcie dokonane zostało na boisku Zlotowem. Zarząd Dzielnicy z Zarządem Okręgowym i kapelanem Dzieln. VII. ks. prałatem Helenowskim z Bruay-les-Mines w towarzystwie najmłodszego sokoła, Okręgu I., syna podnaczelnika Okręgu I-wszego dha Wolskiego, leżącego przed grupą po prawej stronie, po lewej naczelnik I. Okręgu dh Dobrowolski, obok najmł. sokoła siedzi sekretarz Redakcji Organu Dzielnicy VII. „Sokół Polski" wychodzący od 15. I. 1924 w Paryżu.

Piszę te parę słów, ażeby Rodaków naszych w kraju zapewnic, że Polacy na emigracji, na ziemi drugiej naszej Ojczyzny są stale myślą i sercem z nimi, ciesząc się nadzieją powrotu do Ojczyzny. Że zaś chcą do Polski wrócić jaki dobrzy synowie i karni obywatele, świadczy najlepiej o tem to, że organizacje polskie na emigracji stoją na wysokim stopniu i budzą poważanie i respekt u tutejszych obywaseli — Francuzów. R. K.





Zloty Sokolstwa polskiego we Francji: 1) na boisku w Hersin Coupigny. 2) Powitanie władz dzielnicowych przez okręgowe Sokolstwo na dworcu w Hersin-Conpigny.

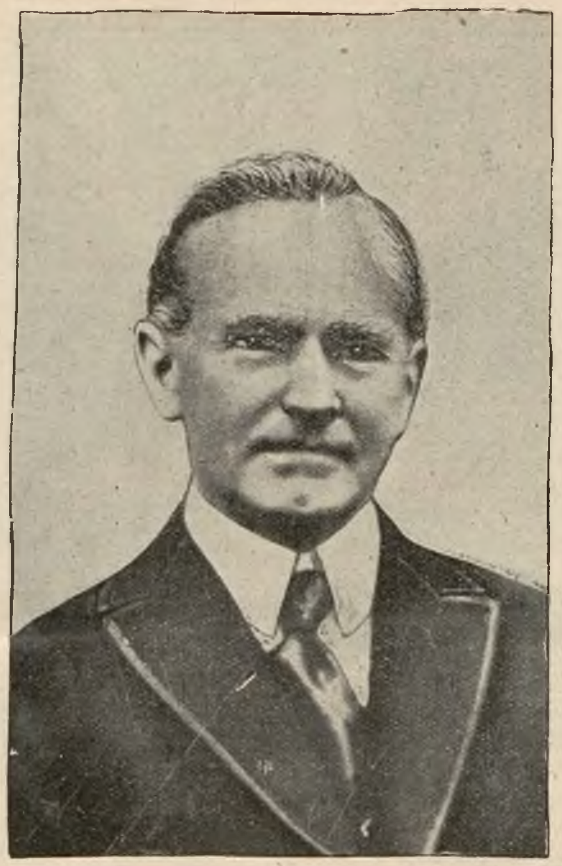
Demokratyczni kandydaci na prezydenturę w Ameryce.

Społeczeństwo amerykańskie każdorazowe wybory traktuje niezwykle poważnie, a w walkę wyborczą wmieszane tam są interesa nie tylko jednostek, biorących czynny udział w życiu politycznem, lecz również i całych mas ludu roboczego i średniej inteligencji amerykańskiej. Od wielu już lat walczą o hegemonję dwa najsilniejsze stronnictwa polityczne, dwa niejako trusty drobnych klubów partyjnych, t. j. stronnictwo demokratyczne i republikańskie. Tylko naoczni świadkowie takich walk mogą mieć pojęcie, jak de facto wyglądają wybory w Stanach Zjednoczonych, tej typowej republice gdzie społeczeństwo *en masse* bierze żywy udział w życiu politycznem. Walka wyborcza wre tam



Demokratyczni kandydaci na prezydenturę w Ameryce. Gubernator Smith. Fot. Atlantic — Photo.

z całym brutalizmem i bezwzględnością. Agitatorzy poszczególnych stronnictw nie wahają się poruszać najdrażliwszych szczegółów z życia kandydatów przeciwnego stronnictwa, cała działalność konkurenta przechodzi przed forum publiczności zniekształcona i sparodjowana. Reklama partyjna święci swe tryumfy, zamienia ruchliwe ulice centrów przemysłowych i spokojne aleje prowincjonalnych miasteczek w formalną orgję świstków ulotnych i barwnych, krzyczących plakatów. Na meetingach dochodzi często do krwawych bójek i nieraz zdarza się, że tłum, podniecony gorącemi przemówieniami krzykaczy wiecowych, stawia czynny opór interwenjującej policji. Ta ostatnia ma nieraz twardy orzech do zgryzienia, jednak dzięki niezwykłej sprawności i wyćwiczeniu, a szczególnie dzięki ogromnemu poważaniu, jakiem cieszy się wśród mas, wychodzi obronną ręką z ciężkich sytuacji. Policja w Stanach Zjednoczonych to nie kołki, przybrane w uniformy, ale ludzie, naprawdę znający swój fach. Ostatnie wybory na prezydenta Stanów Zjednoczonych dały zdecydowaną większość stronnictwu demokratycznemu. Z tego stronnictwa wyszedł prezydent Harding. Nowi demokratyczni kandydaci na najwyższe dostojeństwa republiki to posłowie: Smith, Mac Adoo (zięć Wilsona) i John Davis. Zdaje się, że ten ostatni ma największe szanse zostania prezydentem. gdyż kandydatura Smitha nie była nigdy poważnie brana w rachubę, zaś Mac Adoo musiał ustąpić po ostatnim głosowaniu. Osoba zięcia Wilsona była niezmiernie popularna wśród ludności nowojorskiej, toteż ustąpienie jego wywarło ogromnie przygnębiające wrażenie w centrum przemysłowem Ameryki. Domniemany prezydent, Davis liczy 51 lat życia, pochodzi z Wirginji. Państwa Europy życzą sobie gorąco jego prezydentury, gdyż wobec tego, iż jest on gorącym zwolennikiem Ligi Narodów, wpływ Ameryki oddziałałby decydująco na utrwalenie światowego pokoju.



Calvin Coolidge, b. wiceprezydent za Hardinga, Obecny prezydent i kandydat na prezydenta parji republikańskiej. Decydująca wajka wyborcza na kongresie elekcyjnym rozstrzyga między nim a Davisem.



Demokratyczni kandydaci na prezydenturę w Ameryce. John Davis, były poseł Stanów w Londynie. Prezydentura jego brana jest poważnie w rachubę. Fot. Atlantic — Photo.

HENRYK GRALSKI

Aforyzmy i paradoksy.

Gdy nas w towarzystwie poszukują, to się już sami przeważnie zgubiliśmy.

* * *

Kto nie ma oleju w głowie, jak może świecić mądrością?

* * *

Nowoczesne tańce są łagodną formą choroby św. Wita.

* * *

Komu praca nie pachnie, temu i najlepsza perfuma nie wystarczy.

* * *

Same pomysły elektryzują ale nie oświecają.



Demokratyczni kandydaci na prezydenturę w Ameryce Mac Adoo, zięć Wilsona. Atlantic — Photo.

Startując na torze matrymonjalnym im lżejsza tem prędzej dobiega do mety.

* * *

Co jednem uchem wchodzi drugim wylatuje a pozostaje tylko to, co ani nie weszło, ani nie wyjdzie.

* * *

Zakochani się tylko czerwienią, kochający bledneją w obliczu miłości.

* * *

Kto wzystko wie „lepiej", dobrze nie wie nic!

* * *

Przeważnie tylko na maskaradach ubierają ludzie swe właściwe szaty.

* * *

Dla jednych muzyka jest ucieczką przed pospolitym gadaniem dla drugich wręcz przeciwnie tylko przedłużeniem języka.



Syn prezydenta Coolidge'a, z matką po swej promocji uniwersyteckiej. W kilka dni po promocji młody człowiek zmarł.



JERZY BRAUN

RYSOWAŁ A. ŻMUDA.

4

Wyglądał tak poczciwie. Szczera, otwarta twarz była zaprzeczeniem zła i zbrodni i musiała rozwiać wszelkie podejrzenia, jakieby ktoś „nieznający ludzi" śmiał skierować przeciwko niemu...

Wyglądało to tak sympatycznie, tak ładnie...

Ale mimo to Mac Sterling, zgryźliwy niedowiarek śledził dalej dyrektora Blanka.

Główny ajent znał „swoich ludzi"...

. . . .

Tegoż wieczoru mister Borghe, Wielki Detektyw siedział w sali audjencjonalnej przy okrągłym stole i kreślił gorączkowo na mapie miasta jakieś plany. Chodziło tu o rzecz ważną, bo o wielką obławę na wszelkiego wieku, płci i wyznania rzezimieszków hulających prawie bezkarnie we wschodniej połaci miasta, a specjalnie w chińskiej dzielnicy.

Pracował pilnie i nikt nie śmiałby mu w tem ważnem zajęciu przeszkodzić.

A jednak..

Borghe drgnął i wolno podniósł oczy, utkwiwszy bystry wzrok w jeden punkt, który przykuł do siebie na moment jego uwagę...

Na tle fałdów olbrzymiej, spływającej od samego sufitu ciemnozielonej kotary zjawiła się słaba smuga światła, z której wyłonił się, jak widmo, niewyraźny kontur jakiejś postaci. Miało się wrażenie, że owa nikła smuga blasku przybrała kształt ludzki i szara, bezbarwna, bezszelestna przysuwała się do stołu, za którym pracował Borghe.

On nie poruszył się z miejsca.

Uważnie, z widocznym niepokojem śledził idące na niego niewytłomaczalne ziawisko, nie odzywając się ani słowem, tylko zwolna, nieznacznie ręka jego sięgnęła po przygnieciony stosem papierów rewolwer.

Przybysz stanął po drugiej stronie okrągłego stołu.

Była to smukła, długa, czarna postać, zawinięta od stóp do głowy w fałdzisty płaszcz, jak zakapturzony spiskowiec. Na szerokich płaskich barkach coś jakby głowa, jakby maska — jakaś tajemnicza, przeraźliwie martwa i blada larwa, o ciemno obkrążonych, potężnie błyszczących oczach. Ruchy tej istoty były powolne, powłóczyste, słaniające się, coś jakby poruszenia rąk hypnotyzera.

— No? — odezwał się wreszcie detektyw...

— Panie Borghe, bądź pozdrowiony...

— Oh, dziękuje — zdziwił się — Mam do czynienia, jak widze, z jakąś figurą biblijną...

— Bynajmniej. Jestem demonem.

— Oo, co za miła niespodzianka. Good by, mister Demon.

— Może pan wierzyć, lub nie. To nie należy do rzeczy. Wyobraź pan sobie dajmy na to, że jesteś na seansie spirytystycznym i masz przed sobą zjawę.

— A więc, czego pożąda zjawa? — uroczyście przemówił Wielki Detektyw.

— Zjawa prosi przedewszystkiem, byś pan zaprzestał kiepskich dowcipów i potraktował sprawę serjo..

— To będzie trudno. Ale, o cóż to chodzi?

To mówiąc George Borghe uczuł jakieś przykre, dotkliwe ukłucie w tyle głowy i ciarki przeszły go od stóp do głów. Dziwna rzecz. Widmo jakby rozpływało się w mroku, a detektyw ujrzał tuż przed sobą dwa potężne, fosforyczne kręgi... Pod czaszką zadudnił mu głuchy dzwon...

Otrząsnął się.

— Baczność, George — mruknął do siebie. — To mocna bestja i jeszcze chwila, a spałbym, jak kłoda w tym fotelu.

I dotknąwszy zimnego żelaza browninga, zacisnął kurczowo palce wokół głowni.

— To niepotrzebne — zaśmiał się Demon. — Zdaje mi się, że pan ma w ręce rewolwer? Mój panie, to całkiem nędzne cacko...

— Mów pan!

— Jestem „Demonem Filmu". Ale pan zapewne nie zrozumie, co to znaczy. Film to współczesność, a ja jestem genjuszem tej współczesności. Szanowny tyranie policyjny. Przyszedłem do ciebie z propozycją, byś się usunął precz z Centralopolis, oddając mi dobrowolnie to miasto, które od dziś ma być mojem wyłącznem dominjum...

— Jak?

— Mówię wyraźnie Razem z tobą winny odejść stąd wszystkie władze i cała banda twoich detektywów. Bylibyście tylko przeszkodą w moich ogromnych planach.

— To jest więcej niż bezczelne żądanie!

— Spokojnie, mister Borghe. Chcę tu uczynić wielki eksperyment. Chcę za pomocą kina uzbrojonego potęgą moich wynalazków przemienić to miasto w żyjący film, którego ja jeden tylko byłbym reżyserem.

— Ależ pan jesteś warjat!!

— Czy to pańskie ostatnie słowo? Zastanów się pan, bo to się może dla was źle skończyć. Zaczniemy walkę na śmierć i życie...

— Warjat! — grzmiał Borghe.

— I zobaczymy, czy zwycięstwo nie będzie tym razem po stronie „warjata"!

Tu znów runęły w źrenice detektywa dwa straszliwe młoty oczu Demona. Widać było, że okropny hypnotyzer napiął jak struny stalowe swoje wzrokowe nerwy, że wytężył pod czaszką całą miażdżącą inteligencję swego mózgu, tak, jakby puścił prąd szalony z baterji pulsującej energją po elektrycznych przewodnikach sugestjonujących promieni.

Borghe poczuł, że słabnie, mętne, krwawe płaty poczęły biegać przed jego oczyma i zdało mu się, że jakaś nieodparta siła pcha go brutalnie w tył i oszołamia narkozą.

Rozpaczliwie sięgnął do dna swych duchowych pokładów, zaczerpnął wściekłymi chwytami świadomości z wnętrza ostatnich zasobów energji, pchniętej ostrogą samozachowawczego instynktu. Przez chwilę dwie pary oczu walczyły, jak zapaśnicy zajadli. Zdawało się, jakby dwie jasne smugi promieni szły z tych spracowanych, sprężonych mózgów przez latarnie źrenic.

Nerwowy wstrząs.

Huk pulsów.

Jęk.

Detektyw szarpnął całem ciałem i wyciągnąwszy rękę przycisnął guzik elektrycznego dzwonka.

Halloo! — warknął chrapliwym głosem — do mnie!

Zgrzytnęły drzwi. Wpadli ajenci...

— Aresztować! — wykrztusił Borghe.

Skoczyli.

Demon szedł ku nim nastawiając straszliwe reflektory źrenic. Wyciągnęli ręce, ale odepchnięci nieznaną im siłą zatoczyli się niezgrabnie — a on szedł przez nich jak przez powietrze. Znikał już we fałdach kotary..

— Stać!! — wrzasnął Borghe.

Rewolwer, trzask... Za kotarą cichy głos śmiał się...

— Czego tu stoicie?! — huczał na ajentów. — Za nim. Do djabła z taką robotą! Prędzej!! Ucieka!

Ajenci wybiegli skwapliwie, ale już nie znaleźli nikogo.

Wielki Detektyw znużony padł w miękki fotel.

— Sprawa wyjaśnia się — szeptał do siebie, — ale... sprawa się powiększa. Ten człowiek jest naprawdę Demonem..

ROZDZIAŁ V.

Na drugi dzień po uwięzieniu przeprowadzono Smitha do jego właściwego pomieszkania. Przeznano dlań cztery pokoje na drugim piętrze, jasne, obszerne i umeblowane z istnym przepychem. Wygody miał wszelkie.

W sypialni znalazł bogaty wybór przyborów toaletowych i wszelkich, niezbędnych dla aktora filmowego przedmiotów.

Najwięcej zadziwił go umiejętnie dobrany zbiór szminek tak pierwszorzędnej jakości, że Smith z prawdziwą satysfakcją począł je próbować i charakteryzować się na wszelkie sposoby.

Nagle roześmiał się ze swej gorliwości i złożywszy do pudła porozkładane szminki udał się na oględziny swego bezwłasnowolnie wynajętego mieszkania.

W salonie zaciekawił go niesłychanie obfity zbiór zdjęć z najwspanialszych, wyświetlonych w ostatnich latach filmów. Na ścianach wisiały fotografje i portrety sławnych aktorów. Odnalazł tam i siebie i z dziecinnem zadowoleniem przyglądał się portretowi, napotkanemu w tak niezwykłem i tajemniczem miejscu. Potem począł przerzucać leniwie leżące na stole albumy i pisma filmowe. Palił papierosy, jednego po drugim, trochę się nudził, ale przyznać musiał, że zaintrygowała go i podnieciła senzacyjna przygoda jakiej padł ofiarą...

— Ten reżyser — kręcił głową Edgar — bodaj go. Cóż to za bajeczny temat do filmu. Jak tylko wyrwę się z tej komicznej niewoli muszę napisać scenarjusz. Sądzę, że miałby olbrzymie powodzenie, tembardziej, że byłby moim pamiętnikiem, najprawdziwszym w świecie obrazem osobistych przeżyć...

Ktoś zapukał.

— Wejść! — rzucił Smith.

Wślizgnął się, jak cień chudy Chińczyk zginając się w uprzejmym ukłonie.

— Pan reżyser prosi do atelier...

— Hm — mruknął więzień, ale wstał i poszedł za nim.

Atelier było ogromną, wysoką na parę piąter halą o szklannym dachu. Miało conajmniej 60 metrów długości, a do 40 metrów szerokości. Urządzone było według najbardziej nowoczesnych wymagań techniki filmowej i niczego tam nie brakowało, co tylko w wielkiej i bogatej wytwórni znajdować się powinno. Olbrzymie lampy na parometrowej wysokości wieżyczkach majaczyły w mrokach, jak przedpotopowe potwory. Mniejsze wyglądające z ram stalowych otwierały, jak smoki legendarne swoje — ziejące blaskiem paszcze. Wzdłuż ścian, jak widma czaiły się szeregi różnokształtnych „juppiterów", przyrządy do wywoływania wiatru, miotacze sztucznych ogni, miotacze błyskawic, cały skomplikowany aparat filmowej machiny tłoczył się w głębi rozległego „hangaru", skąd skrzydlaty genjusz filmu wyruszać miał na swoje zaborcze wzloty.

Na hali znajdowało się kilkanaście osób.

Przy małym stoliczku pisał coś naprędce przeraźliwie chudy, niespokojnie ruchliwy blondyn — jak się okazało później sekretarz reżysera.

Operator wysunął z kąta na środek hali swój aparat i majstrował coś przy nim zawzięcie. Pomocnik jego oglądał pod światło zdjęcia.

Jakaś młoda, prześliczna aktorka i jej smukły towarzysz bawili się nawijaniem taśmy filmowej flirtując i chichocąc. W głębi stała cała grupka aktorów, jakieś ośm do dziesięciu osób. Prowadzili ożywioną rozmowę. Gdy Edgar zbliżał się ku nim zauważył, że mieli dość niepewne, zakłopotane miny. Wszyscy oni zostali tu sprowadzeni przemocą i nie znając swoich dalszych losów, nie zdawali sobie jasno sprawy, jak się mają zachować wobec narzuconego sobie reżysera i jakie zająć stanowisko wobec niezwykłego gwałtu, jakiego padli ofiarą.

Smith zdaleka już rozpoznawał między nimi Mary Marburg, sławę i ulubienicę stolicy, Oskara Lehnerta tragicznego bruneta o ponurem spojrzeniu i paru innych, znajomych mu osobiście lub z ekranu aktorów.

Poznali go zapewne i oni i byli najwidoczniej zaskoczeni jego widokiem. Ale zanim ich Edgar powitał podszedł ku niemu szybko ów szczupły blondyn i uczynił wielce uprzejmy gest zapraszający.

— Prosimy, prosimy! Pan pozwoli bliżej panie Smith. Jestem Lessner, sekretarz prywatny reżysera. Do usług.

I zwracając się do grupy aktorów.

— Państwo pozwolą. Oto pan Edgar Smith.

Smith skłonił się głęboko.

— Servus Smith — zawołał Teddy Buckingham, młody aktor, dobry znajomy Edgara. — I ty tutaj?

— Jak widzisz — roześmiał się Smith.

— Nie potrzebujesz się przedstawiać tak ceremonjalnie. Znają cię tu wszyscy aż nadto dobrze. Chyba, że... miss Mary, oto pan...

— Ależ Teddy! Co za kiepski dowcip? Pan Edgar już miał sposobność mię poznać. Graliśmy nawet razem, nieprawdaż?...

— Nie inaczej — odparł Smith, podając jej rękę.

Tymczasem sekretarz oddalił się dyskretnie.

— Nareszcie odeszła ta blond małpa i możemy pomówić swobodnie — mówił półgłosem Teddy. — Smith, u licha, może ty nam wytłumaczysz co znaczy ta heca. Porwano nas, skradziono, zdefraudowano w sposób niegrzeczny, co mówię?! bezczelny i niema mowy o wydostaniu się z tej klatki.

— Czy ten djabelski reżyser wyjawił wam swoje plany? — pytał Edgar.

— Ależ naturalnie. Plótł i opowiadał historje z „Tysiąca i jednej nocy".

— Usypiał was...

— Ho, ho, jeszcze jak. Zahypnotyzował mię odrazu i spałem przez dwa dni jak suseł.

— Nie żartuj, Teddy.

— Nic innego mi nie pozostaje w tej smutnej sytuacji. Zasadniczo wszystko to, co mówił ten awanturniczy „Demon" jest bardzo piękne. Nie byłbym aktorem filmowym, gdyby mi się nie podobał projekt przemienienia świata w jedną wielką filmową wytwórnię. Ale to są mrzonki i legendy, fantazje zdeklarowanego manjaka, a ja nie mam bynajmniej czasu i ochoty na taką zabawę i na poddawania się mniej lub więcej zajmującym eksperymentom hypnotycznym.

Tu Oskar Lehnert wtrącił się do rozmowy.

— Pozostaje niezaprzeczony fakt, że dostaliśmy się tu pod presją i jako ludzie wolni nie możemy się zgodzić na to bezwarunkowo.

— Ale w ręku tego warjata jest siła — zauważył Smith.

— Wszystko jedno. Będziemy protestować i dążyć do oswobodzenia się.

— To na nic — biadała Mary Marburg. — Śledzą nas, pilnują na każdym kroku. Gdzie się ruszę snują się za mną cienie tych obrzydliwych chińskich drabów.

Teraz zabrał głos Amerykanin, sławny Dick Humberland, który najdłużej tu przebywał:

— Panie i panowie! Ja, jako najwięcej zorjentowany w sytuacji radzę zachować spokój, zimną krew i podporządkować się woli tego człowieka. Narazie ucieczka jest wykluczona, siła jest po przeciwnej stronie, a dotychczas przecież nie stało się nic, coby zagrażało naszemu honorowi i życiu. Każą nam grać, będziemy grać, tembardziej, że gdyby ten Brown okazał się istotnie genjuszem stwarzającym dla filmu nowe wartości — obowiązkiem naszym i to nawet miłym obowiązkiem będzie mu dopomódz...

Przerwano dyskusję.

Na salę wszedł Bruno Brown.

Stało się cicho, jak makiem siał, i było tak, jakby jakieś olbrzymie, chłodne tchnienie przepłynęło powietrzem i wszyscy znaleźli się naraz pod jarzmem stalowej woli tego człowieka.

— Witam!

Aktorzy kłaniali się w milczeniu.

— Proszę usiąść...

Jak na komendę ruszyli się wszyscy i zasiedli poważnie w wielkich klubowych fotelach, tworzących w tej części hallu jakby rodzaj salonu klubowego.

— Dziś przystąpimy do pracy... Cel jej i ogólny zarys moich planów przedstawiłem każdemu z pań i panów z osobna. Sądzę, że powtarzać nietrzeba. Chodzi teraz tylko o grę, o dobrą, rzetelną, artystyczną grę. Dlatego też wybrałem was panowie i panie tu obecne i sądzę, że licząc na wasz genjusz nie omyliłem się i nie zawiodę. Pozwolicie państwo, że przeczytam szkic mojego scenarjusza i udzielę koniecznych wyjaśnień.

I oto ubezwładnieni jego potęgą ducha aktorzy nie zdobyli się ani na jeden gest oporu, na jeden szmer protestu przeciw wyrażonej przez niego woli.

Nastąpił fakt zbiorowej sugestji. Wsłuchani, zapatrzeni w szalone, genjalne wizje tego człowieka, porwani treścią dramatu, jaki grać im polecił zatracali świadomość swej upokarzającej roli więźniów, a fantazja ich snuła się radośnie i gorączkowo około podsuwanych im przez czytany scenarjusz obrazów.

Ogarniało ich chorobliwe podniecenie.

Chwytali łakomie powierzone im role, wżywali się wsytuacje i nastroje, drapieżnie, pożądliwie wchłaniali w siebie papierowe jeszcze jaźnie bohaterów scenarjusza, by w swych doświadczonych, płonących inteligencją mózgach przetrawić je, przerobić i przeżyć a potem tchnąć w nie swego ducha i zagrać.

Natchniona febra filmowego aktora poniosła ich, jak prąd rozszalałej rzeki.

Talenty zwijały się w groźne kłęby, jak sprężyny.

Czekały chwili, w której z pod zaciśniętej pętli woli świadomego reżysera wyzwoli się eksplozja, namiętny, błyskawiczny odskok w próżnię niesłychanych możliwości.

Drżeli wewnętrznie.

Spazm twórczego wzburzenia dławił im gardło.

...I kiedy przygotowani już i uzbrojeni w kompletną świadomość istoty obrazu, ucharakteryzowani i przerobieni duchowo na obraz i podobieństwo swoich „postaci dramatu" znaleźli się w polu działania zaczajonych, zakapturzonych aparatów wstąpił w nich ten dobrze im znajomy dreszcz święty, ten jakiś dziwny, Boży płomień.

Grać...

Stężeli, jak marmurowe posągi. Nerwy stawały na wysokości zadania. Zimny, napięty jak struna spokój, pewność swej przewagi nad duszami przyszłych widzów i mądra wiedza „jakimi być należy" — oto wszystko.

Resztę dokonał instynkt, talent i długoletnia rutyna.

Reżyser, stojąc na wysokiej trybunie wydawał ostatnie polecenia.

Olbrzymie, dziwacznie malowane dekoracje o bryłowatych, kubistycznych kształtach, pchnięte jakby jakąś tytaniczną, niewidzialną siłą przesuwały się i nieruchomiały przed nim, tężejąc w wywołanej jego wolą formie. Na ich tle jak małe figurki z bronzu — aktorzy.

Operatorzy podjeżdżali bliżej z trójnogami swych aparatów. Mechanicy stali na stanowiskach jak wartownicy przy baterjach lamp i dziwacznych maszyn.

Ale nim przystąpiono do zdjęć, reżyser otworzył metalową kasetę i wyjął z niej dużą, kryształową kulę i wyciągając ramiona przed siebie trzymał ją w palcach prawie na wysokości oczu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

J. A. MITCHELL.

Ostatni Amerykanin

Urywek z dziennika *Kan Li'ego*, księcia *Dimf Ju-Chur* i admirała marynarki perskiej.

Przełożył *(rd)*.

Gdy oczy jego padły na nią zadrżał z radości i wyciągnął ramię, by ją ująć. Wtedy to opowiedział mi o nadzwyczajnej przygodzie, jaką miał ubiegłej nocy; lecz przedtem jeszcze rzekł:

– Wiesz, książę, że nie wierzę w przywidzenie i dlatego nigdybym ci nie opowiedział mej przygody, gdybyś nie znalazł tej szklanki. Z takiego naczynia piłem zeszłej nocy, naczynia podanego mi ręką widma.

Zaśmiałbym się, gdyby nie był tak poważnym. Gdy chciałem usiąść przy nim rzekł:

– Skosztuj najpierw, panie, tych winogron, które zwisają z tego muru.

Uczyniłem to i ku memu wielkiemu zdziwieniu okazały się nadzwyczaj smacznemi, lepszemi niż przyswojone owoce w Persji, bardziej słodkiemi i delikatnemi, innemi od tych dzikich winogron, jakie mamy w ojczyźnie. Moje zdziwienie widocznie ucieszyło go i rzekł z uśmiechem:

— Te winogrona, mimo pozorów niemożliwości, istnieją. Jeszcze bardziej absurdalnem jest moje opowiadanie.

I wtedy powiedział mi swoją przygodę.

O tem co Omar widział.

Wczoraj gdy noc zapadła i spieszył się z powrotem do „Testudo" upadł na bloki kamienne i zranił się w kostkę u nogi, ponosząc przytem jeszcze inne kontuzje. Nie mogąc iść pokulał ku tej właśnie budowli, aby oczekiwać w niej nadejścia następnego dnia. Wycie wilków i innych dzikich zwierząt, które błąkały się po mieście, zmusiły go szukać schronienia wyżej na ruinach schodów. Gdy usiadł w kącie olbrzymiej sali uderzył jego nozdrza smakowity zapach winogron, znajdujących się obok jego głowy. Znalazł je nader smacznemi i spożywał je z apetytem. Zaraz potem zapadł w sen, który trwał kilka godzin, bowiem, gdy się zbudził, księżyc stał już wysoko na niebie i głosy wilków się nie odzywały i cisza panowała nad miastem.

Gdy tak leżał, marząc, zajęty całkowicie swemi myślami, zauważył zwolna dziwne zmiany, które zchodziły w pokoju. Zdało się, iż pełen ornamentacji sufit rozciąga się nad pokojem, zwierciadła i pięknie pomalowane mury zwolna zajmowały miejsce bluszczu i pokruszonych cegieł. Słabe światło stawało się coraz i coraz silniejsze i wypełniło wreszcie pokój oślepiającym blaskiem.

Wtedy cicho pojawił się stół dziwacznej formy, na którym znajdowały się kwiaty i masa potraw; szkła i porcelany, jakby przygotowane na ucztę. Omar ujrzał poważnych mężczyzn z ogolonemi twarzami, którzy otaczali stół. Wszyscy byli czarno ubrani, a szaty ich miały trójkątne wycięcie na piersiach, dla okazania koszuli. Przekonał się on wnet, iż ludzie ci byli służącemi. Gdy się im, zmieszany, przypatrywał weszły parami inne postacie, które zajęły miejsca przy stole. Było ich około sześćdziesiąt mężczyzn i kobiet idących pod ręce; kobiety były bogato ubrane, nieznaną dla Omara modą i błyszczały od wielu drogich kamieni. Mężczyźni byli ubrani podobnie jak służący.

Jedli oni i pili śmiejąc się i przedstawiali barwny obraz. Omar wstał i powodowany ciekawością, której nie mógł pokonać – jest on zawsze lekkomyślny i nie wie nigdy co to strach – pokulał ku nim.

Biesiadnicy spoglądali nań z ciekawością, a obecność jego zdawała się ich mocno bawić. Jeden z ucztujących, wysoki młodzieniec, o płowym wąsie zbliżył się do niego i podał mu delikatne kryształowe naczynie mieniącej się cieczy.

Omar wziął je od niego.

Młodzieniec wziął wtedy drugą czarkę ze stołu i trącił czarkę Omara, jakby witając się i rzekł słowa, które towarzysz mój zrozumiał, mimo, iż przysięga, że nie znał tego języka. Oto one:

— *Bardzo możliwe, że się spotkamy czwartego lipca.*

I wychylił czarkę z winem, Omar zaś poszedł w jego ślady.

Na to wszyscy uśmiechnęli się, jakby z powodu zachowania się mego przyjaciela, z wyjątkiem kobiet, których twarze mówiły więcej o współczuciu niż o wesołości. Wino uderzyło Omarowi do głowy i przedmioty obok niego zdawały się tańczyć i kręcić w koło. Naraz ozwały się tony fantastycznej muzyki i wtedy mężczyźni i kobiety zaczęły poruszać się lekko i rytmicznie. A on sam, gdy się poruszał w takt muzyki, miał wrażenie, iż mózg tańczy mu pod czaszką. Sam pokój poruszając się i drgając zaciemniał się i zwolna znikał. Muzyka cichła i cichła, wreszcie ustała..

..I znowu nastała cisza, a księżyc z góry spoglądał na mary okryte bluszczem...

Omar zwalił się, jak pijaczyna na podłogę i dopiero nasze nawoływania zbudziły go.

Tak brzmiało jego opowiadanie.

Jest on człowiekiem rozsądnym i nigdy nie kłamie – jednak wielka ilość spożytych winogron i gorączka ze złamanego członka jasno tłumaczą owe nocne majaki.

* * *

Mieliśmy dziś na objad niedźwiedzią pieczeń.

Dzisiaj, koło południa, Mulai, drugi oficer, wyprzedził innych i wbiegł do wielkiej budowli, polując na zająca. Zeszedł on na dół do piwnicy, gdy naraz ujrzał bardzo blisko siebie niedźwiedzia, który powoli schodził po marmurowych schodach. Mulai nie jest tchórzem, lecz obrócił się i począł zmykać prędzej, niż kiedykolwiek w życiu. Niedźwiedź, widocznie skłonny do zabawy, postępował za nim w małem oddaleniu. Szczęśliwym trafem byliśmy blisko i dlatego zjedliśmy niedźwiedzia, nie zaś niedźwiedź Mulai'a w mrocznych kurytarzach hotelu „5 Avenue".

17 maja.

Tropikalny upał pali nam płuca. Wyszliśmy rano zdecydowani do zostania przez cały noc na ziemi i zbadania północnej części miasta. Przechadzka po miękkiej trawie była bardzo miłą, lecz w miejscach niezakrytych cieniem, gotowaliśmy się jak ryby w garnkach. Widzieliśmy budynki znacznie wyższe od tego, w którym byliśmy onegdaj. Chcieliśmy je zbadać, lecz Omar zwrócił nam uwagę, iż pora jest za gorąca i lepiej będzie uczynić to w drodze powrotnej.

W północnej części miasta znajduje się wiele świątyń, których wysokie wieże, podobnie jak u piramid przechodzą w graniasty wierzchołek. Są one nad podziw dobrze zakonserwowane. Wnętrza ich za to okazały się mniej interesującemi. Abdul mówił, iż religja Amerykan nie miała specjalnych cech. Mieli oni wiele wierzeń religijnych o skomplikowanych i małoznacznych różnicach. Każda z sekt miała swą własną świątynię. Dla Persa są to cechy śmieszne – dla nich musiały to być rzeczy poważne. Jednego dnia w tygodniu schodzili się oni w swych świątyniach, księża odczytywali nauki moralne, pocem grali pieśni najeci muzycy. Po tem nabożeństwie rozchodzili się do domów, nie myśląc o kościele przez sześć dni. Abdul pouczył nas, że do kościoła chodziły też i kobiety.

Popołudniu przechodziliśmy przez szeroki park, który opuszczony zmienił się w bór gęsty; jednak widoczne są jeszcze miejsca alei [1]. Zachowała się alea z bronzowemi statuami, z których wiele jest nietkniętych, wzbudzających wśród nas wesołość. W parku zgubiliśmy drogę nie mając jak na ulicach znaków orjentacyjnych. Wyszło nam to jednak na dobre, zrobiliśmy bowiem niezwykłe odkrycie. A było to tak:

Pokonani upałem zatrzymaliśmy się na wzgórku, by odpocząć. Gdy siedzieliśmy pod drzewami, zwróciłem uwagę na dziwne rzeźby, wyryte w bloku kamiennym, o który Omar się oparł. Były one zupełnie różne od tych, które już widziałem, a jednak były mi znane.

Zaczęliśmy je natychmiast studjować i odkryliśmy obelisk z egipskiego granitu, pokryty hieroglifami, o tysiące lat starszemi od najstarszych pomników w tym kraju.

Byliśmy całkiem serjo skonfudndowani!

– Kiedyż to Egipcjanie najechali Amerykę? – zapytał Józef Hason z poważnym spojrzeniem, jakby starał się przypomnieć sobie datę tego zdarzenia.

– Żaden Egipcjanin nie słyszał o Ameryce. Ów obelisk ukończył 20 wieków nim pierwszy z Amerykan począł ssać. Niewątpliwie przywieziono go tu jako kurjozum, podobnie jak my zawieziemy do Persji bronzową głowę Washingtona.

Po tym wyjaśnieniu Abdula długo oglądaliśmy pomnik.

Również podczas pobytu w parku wdrapaliśmy się na wielką wieżę, rozkoszując się malowniczym widokiem.

Ogrom miasta jest faktycznie niezwykły. O całe mile, w oddali majaczył się w rzece „Testudo", przedstawiając się jako punkt biały. Wokół, aż do kresów nieboskłonu ciągnęły się ruiny, ruiny i ruiny. Pełniejszego melancholji widoku nie widziałem w życiu. Błękitne niebo, jasne światło słońca, wonne powietrze i śpiew ptaków czyniły kontrastowo widok jeszcze smutniejszym.

Rozbiliśmy już namioty, aby przenocować, nie mogę więc już dalej pisać. Niezliczona ilość owadów gromadzi się dookoła nas z nieprzyjaznem brzęczeniem i tnie nas mimo obrony. Są one trzykroć gorsze od zarazy.

Powiedziałem Abdulowi, iż jego teorja o istnieniu Amerykan jest bajką, dobrą dla tych, którzy nigdy tu nie byli. Żaden człowiek nie potrafi tu przeżyć drugiej nocy.

18 maja.

Godny współczucia Hason jest bardziej niż chory. Spotkał on ubiegłej nocy nieznane zwierzę, a klęska jego była haniebną. Zwierzę, ładne stworzonko, było podobne do kota, a Hason z rzadką odwagą zaatakował je.

Tego, co nastąpiło nikt z nas dokładnie nie zdoła opowiedzieć. A Hason! Słów brak! Nosi on z sobą zapach dość mocny, by całą prowincję zamienić w pustynię. Musieliśmy pozostawić go na ziemi i posłać mu nowe szaty.

Doprawdy, jest to kraj niespodzianek.

Nasze ręce i twarze cierpią jeszcze z powodu kąsających owadów, a wydaje się, że perfuma śmierdzącego kota nigdy nas nie opuści.

Abdul jest szczęśliwy. Znaleźliśmy mnóstwo metalowych bloków, z których najgorszy według niego, będzie klejnotem muzeum. Zostały one odkryte przez *Tali-u-Dina* w piwnicach wysokiej budowli; wszystkie były starannie poukładane na żelaznych półkach.

Objaśnienia, których nam udzielają o zwyczajach i obyczajach tego śmiesznego narodu, czynią je wysoko wartościowemi dla historyków.

Zdaje mi się, iż Abdulowi sprawia pewną przyjemność siedzenie na chłodnym pokładzie „Żółwia" i obserwowanie Hasona błądzącego po ruinach tu i tam.

19 maja.

Powietrze jest chłodniejsze. Ab-i-Ganu sądzi, iż burza zagraża.

Nawet Abdul jest nieco zmieszany figurą, jaką wczoraj przynieśliśmy na okręty[1]). Jest ona dobrze zachowana z barbarzyńskiemi, jeszcze świeżemi kolorami. Znaleziono ją stojącą w małym sklepiku.

Dlaczego Amerykanie czcili owe bałwany i dlaczego stawiali je w małych sklepach nie zaś w wielkich świątyniach – jest to dla nas tajemnicą. Nosi ona (owa figura) diadem z piór na głowie, a skoro *wieczór siedzieliśmy* paląc na pokładzie rzekłem do Abdula, iż jest to może posąg amerykańskiego szlachcica. Na to otrzymałem odpowiedź, iż amerykanie szlachty nie mieli.

— A Amerykanie wysokiej krwi? — zapytałem. — Czy nie posiadali oni tytułów?

— Ani tytułów, ni też wysokiej krwi – odpowiedział. – A ponieważ wszyscy mieli wspólne pochodzenie i przybyli do tego kraju tylko dlatego, by im się lepiej niż w ojczyźnie powodziło, wszyscy byli taksowani według swego bogactwa. Ponieważ ogromnie szanowali pieniądz, był to dla nich zadawalniający środek wyróżniania. Rezultatem tego było, iż rodziny, które posiadały przez kilka pokoleń bogactwa stały się prawie arystokratycznemi. Owa wyższa klasa poświęcała wiele czasu sportom i zabawom i wydawała wiele pieniędzy ponieważ ogromnie lubiała przepych. Ich intelektualizm był mizernym i mieli oni małe wpływy poza socjalnymi. Naśladowali oni manjery zamorskiej

[1]) *Mulik* twierdzi, iż jest to „Central-Park" kilkakrotnie wymieniany w amerykańskiej literaturze.

[1]) „Drewniane figura" — była to rzeźba przedstawiająca Indjanina w Ameryce podobne rzeźby częste i zdobią przeważnie drzwi sklepów z tytoniem i cygarami (Uwaga tłum.)

arystokracji. Byli oni bardzo czołobitni dla arystokratów przyjeżdżających z obcych krajów.

Na to rzekłem: Wobec tego wyjaśnij mi, Abduchi, jak ów płytki naród mógł się stać tak potężnym?

– Byli oni potężnymi tylko liczbowo, przytem Amerykanie zgromadzili taką ilość złota, że upili się formalnie pieniędzmi!

– O rozkoszny kraju! wykrzyknąłem.

Lecz starzec pokręcił głową: To prawda, książę, rezultat jednak tego był bardzo nieszczęśliwy. Olbrzymie bogactwa rządziły wszystkiem nawet rządem i sądownictwem. Finansowemi operacjami zgromadzili oni bajeczne sumy pieniężne. Młode następne pokolenia zdemoralizowały się, bowiem uczciwe zajęcia z skromnemi dochodami stały się dla nich rzeczą wartą śmiechu.

– Tak, to było naturalnem – powiedziałem, Lecz w kraju, gdzie wszyscy byli bogaci, czy znaleźli się tacy, którzyby chcieli spełniać niższe prace? Wszak nikt nie zechce przerzucać błota, gdy kieszenie ma pełne pieniędzy.

– Nie wszyscy byli bogaci. A skoro i ubodzy okazali się chciwemi, wtedy nabrali wojowniczości. I wtedy rozpoczęły się socjalne walki, połączone z przelewem krwi i ruiną.

20 maja.

Lodowy wicher z potokami deszczu dmie z północnego wschodu. Wczoraj oddychaliśmy spazmatycznie z powodu gorącego powietrza – dzisiaj na odwrót, drżymy z zimna w zimowych szatach.

21 maja.

Jest tak, jak wczoraj! Większość z nas cierpi z powodu zimna. Zęby moje szczękają i jest mi naprzemian gorąco i zimno. Nigdy gorsza burza nie targała okrętem. Omar nazywa ją krzyczącemi głosami stumiljonów Amerykan, którzy bezwątpienia zginęli w takiej atmosferze.

16 czerwca.

Minęło wiele dni od czasu, jak ostatni raz pisałem w tym dzienniku. Miałem wstrętną chorobę, która zburzyła mą energję i odwagę. Nie potrafię jej opisać, chociażbym nawet chciał.

Wczoraj wieczór Abdul wszedł do mej kajuty z kilkoma metalowemi płytami starożytnych Amerykan. Nie przyznaję on im zupełnie intelektualizmu. Przez chwilę sądziłem, że się przegadał – lecz miał słuszność, jak zwykle. Było to tak:

Abdul: Oni dużo czytali!

Kan Li: Mówiłeś już nam, iż nie mieli literatury. Czyż mogli wiele czytać, gdy nie mieli jej?!

Abdul: Słusznieś to powiedział. Codziennie publikowali oni szerokie karty papieru, na których z precyzją opisywali każdą zbrodnię. Im zbrodnia była okropniejsza, tem dokładniej była opisana. Skandale pochłaniali głodnemi oczyma. Kroniki te wydawali w sto-tysięcznych odbitkach. Prawie każda rodzina w kraju czytała to.

Kan Li: I to im zastępowało literaturę?

Abdul: Tak!...

20 czerwca.

Znów jesteśmy na morzu, o dwa dni podróży oddaleni od *Nu-Jok*. Decyzja nasza była nagłą. Abdul znalazł wśród tych przeklętych płyt mapę kraju, w następstwie czego poczuł silną chęć odwiedzenia miasta zwanego „Washington". Wahałem się, lecz w końcu się zgodziłem, jak sądzę zrobiłem głupio, bowiem załoga statku tęskni do Persji. Miasto to leży nad rzeką w głębi kraju. Abdul mówi, iż jest to najpiękniejsze miasto, była siedziba rządu oraz stolica kraju. Ab-i-Ganu przysięga, iż zdoła go odnaleść, jeżeli karta jest prawdziwą.

Hason dotąd jeszcze jada sam.

Dziś popołudniu spoczywaliśmy na pokładzie, podczas, gdy „Testudo" płynął spokojnie na południe. Ziemia była widoczną po prawej stronie okrętu – nieokreślona linja po zachodniej stronie horyzontu.

Nieco popołudniu, skoro przepłynęliśmy obok ruin olbrzymiej wieży – była to zapewne latarnia morska. – Abdul nagle wstał i dookoła się obejrzał. Następnie spojrzał Ab-i-Ganna, jak daleko jesteśmy oddaleni od nowojorskiej zatoki. Zapomniałem już odpowiedzi jednakowoż ona mocno poruszyła starca. Ujrzałem niezwykły blask jego oczu i drżenie palców, skoro wskazując na otaczające nas morze rzekł:

– Pod nami, w głębiach morze jest pokryte żelaznymi okrętami – ruinami największych okrętów w historji ludzkości.

Wzbudziło to nasze natychmiastowe zainteresowanie.

– Jakie okręty – zapytałem – i co je zniszczyło? Czy była tu bitwa?

Abdul: Bitwa, olbrzymia bitwa, przechodząca pojęcie każdego Persa, bitwa od której drżało morze i niebo darło się w pasy z powodu grzmotów żelaznych mocarzów. Jeden z nichby wystarczył, by obrócić całego „żółwia" w atomy.

Jafar-el-Beg: Czy możliwe? To jest gładko powiedziane, lecz nie zdaje mi się być wiarygodnem. Na „żółwiu" czułbym się dosyć silnym, by się oprzeć któremuś z twych bajecznych cudów.

Abdul: Mądrym jesteś. Bowiem utrata twego mózgu, Jafar-el-Begu, nie może wpłynąć na twą mowę!...

Cięta ta replika wzbudziła wśród nas śmiech. Jafar-el-Beg zamilkł.

Kan Li: Opowiedz nam Abdulu, o owej bitwie. Przypominam sobie teraz, iż czytałem o niej w kolegjum. Szczegółów jednak z historji starożytnej nie pamiętam. Jak to było?

Abdul: Mówiłem wam już, iż Amerykanie byli skąpymi. Ich zachłanność spowodowała w końcu tę wojnę. Podbili oni sobie lwią część handlu na świecie. To, oczywista, sparaliżowało przemysł i handel innych narodów, aż wreszcie najpotężniejsze narody Europy skoalizowały się dla samoobrony przed owem wszystko pochłaniającem skąpstwem.

Zgromadzili amerykanie olbrzymią armję morską. Wtedy z poza oceanu przybył nieprzyjaciel. I w tym miejscu, które przepływamy nastąpiło spotkanie obu flot.

Kan Li: Ileż było okrętów?

Abdul: Amerykanie mieli 80 wielkich okrętów i wiele mniejszych, nieprzyjaciele 240 wielkich, wszystkie były z żelaza. Prócz tego miał nieprzyjaciel wiele małych statków do rozmaitych celów.

Kan Li: Na Allacha! Była to brzydka sprawa dla naszych skąpych przyjaciół. Będąc narodem handlarskim, musieli oni nienawidzieć wojny.

Abdul: Co do tego historycy nie są z sobą zgodni. Sami Amerykanie sądzili o sobie, iż byli potężnymi wojownikami. Niektórzy jednak z ówczesnych pisarzy twierdzą przeciwnie. *Ala-el-Kalaf* jest przekonany, iż byli oni tchórzami, słabemi na ciele i duchu. Według opinji bitwa owa rzuca jasne światło na całą sprawę. Był to dzień podobny do obecnego, także czerwcowy, gdy Europejczycy płynąc wzdłuż wybrzeża na północ, by dotrzeć do Nu Jok, napotkali admirała *Bed-fo raf* z jego 80 okrętami. Bitwa nie długo trwała.

Kan-Li: Wierzę, iż tak było! Ponieważ Europejczycy mieli po trzy okręty przeciw jednemu dałbym im pół dnia, popołudniu podobne do obecnego, by skąpców odesłać na dno.

Abdul: Twe przypuszczenie jest słuszne, książę, co do czasu trwania bitwy. Trwała ona akurat przez letnie popołudnie. Lecz to Amerykanie byli tymi, którzy wysłali wrogów na dno. Morze pod naszemi stopami jest pokryte żelaznemi cielskami.

Kan-Li: Do djabła! To zakrawa na bajkę i nie wątpię, iż owi skąpcy nie byli tak do niczego.

Omar: Kiedy się to działo?

Abdul: W pierwszej połowie XX wieku. Daty nie pomnę, lecz nie zapomnieli jej nigdy Amerykanie. Słusznie byli dumni, bowiem w dniu tym dokonywali cudów. Sam Bedford był w czasie bitwy otoczony dwunastoma wojennymi okrętami niemieckimi. I oto pogruchotał wszystkie dwanaście. Francuskich i rosyjskich okrętów zatopił tę samą liczbę, a także kilka okrętów belgijskich i włoskich.

Omar: Do licha! Ładna zabawa!

Abdul: Tak! Cudu owego dokonali Amerykanie w jednym dniu. „*Teksas*", okręcik ze szpiczastym przodem wybił dziury w 20 wielkich okrętach i zatopił je. Inny niewielki okręt, długi a wąski, wynalazek Amerykan, też wielkie poczynił szkody. Pływał on tu i tam między obcymi okrętami i uszkadzał je. Komendantowi przysporzył on wiele sławy.

Ab-i-Gami: A ile okrętów stracili Amerykanie?

Abdul: Raporty o tem są sprzeczne. Wedle relacji Amerykan nie stracili ani jednego, wedle innych kilka.

Kan-Li: Ładna to była bitwa. Jak jednak możesz wyjaśnić, iż ów płaski naród stał się nagle „bohaterskim".

Abdul: Według *Bamesa*, ówczesnego brytyjskiego historyka mieli oni na morzu dobre szanse. Owo zdanie znajduje poparcie hiszpańskiego admirała Molino, który sądzi, iż Amerykanie, jako naród bezbożny byli wspomagani przez Szatana.

2 lipca.

Jesteśmy na rzece, która wiedzie do „Washingtonu. *Ab-i-Gami* twierdzi, iż ujrzymy go jutro. Rzeka ma brudny kolor.

3 lipca.

Widzimy przed sobą ruiny olbrzymiej kopuły, a także wysoką kolumnę. Zapewne należą one do miasta, którego szukamy.

4 lipca.

Daty powyższej nigdy nie zdołam zapomnieć! W jak najweselszym nastroju opuściliśmy „Testudo" tego poranka nie przeczuwając ni trochę tych strasznych przeżyć, które nas czekały. Około południa wylądowałem w towarzystwie Abdula, Omara, Józefa Hason, Jafara el Beg'a, Mulai'a, pierwszego porucznika, Amada, Kuchana, Fak-u-Dina i dwu marynarzy. Właśnie rozpoczęliśmy marsz, gdy zaskoczyło nas niepokojące odkrycie. Na życzenie Abdula zatrzymaliśmy się, by odczytać jakiś napis na kamieniu, gdy Omar, który podążył naprzód naraz zatrzymał się z okrzykiem. Pospieszyliśmy do niego i na wilgotnej ziemi ujrzeliśmy ślady... stóp ludzkich.

Zdziwienie moje było nie do opisania. Uradziliśmy iść śladami i wnet nabraliśmy przekonania, iż prowadzą nas one do wielkiej kopuły, dokładniej niż sami mogliśmy iść. Podniecenie nasze nie miało granic. Ci z nas, którzy mieli przy sobie broń trzymali ją w pogotowiu. Dróżka była mało używana, lecz łatwo widoczna. Kręciła się ona serpentyną między rozwalonemi fragmentami budowli i rozpadającemi się statuami i prowadziła nas szeroką aleją między wielkiemi i schludnemi budynkami, które o wiele przewyższały te, które widzieliśmy w *Nu-Jok*. Wyglądało to jak miasto pomników.

Gdy weszliśmy na wzgórek wiodący do wielkiej świątyni i ujrzeliśmy ją przez drzewa rozkładające się nad nami, podziwialiśmy jej wielkość i piękność. Oczy nasze z rozkoszą błąkały się po potężnych kolumnach. Każda z nich była wykuta z jednego bloku, a były one białe i świeże, jakby dociosane. Droga poprowadziła nas popod jedną z małych arkad i dotarliśmy na drugą stronę. Tę znaleźliśmy piękniejszą, niż tamtą. W środku znajdowały się schody niezwykłej szerokości, obecnie rozpadające się i gdzieniegdzie porosłe trawą i kwiatami.

Wchodząc w milczeniu na owe schody, gdy inni postępowali za mną, ujrzałem dwie nogi ludzkie, podeszwami do nas zwrócone, przerzucone przez balustradę na górze. Gestem zwróciłem na to uwagę Abdulowi, którego oczy zaświeciły radością. Miałżeby to być Amerykanin? Wyznaję, iż możliwość spotkania podniecila mnie. Ilu ich tu było i jak nas przyjmą? Spojrzawszy na mą gromadkę, by się przekonać, czy są wszyscy, odważnie przebiegłem następne schody i stanąłem przed nim...

Spoczywał on na dziwnym, czteronożnym krzesełku, trzymając nogi na balustradzie, na jednym poziomie z głową. Ubrany w skóry i grubą materję, robił wrażenie myśliwego, a patrzał na mnie ze spokojem, jakoby perski dostojnik był tu codziennym gościem. Takie przyjęcie mi się nie podobało, tem więcej, iż pozostał w pozie siedzącej i nawet nóg nie zdjął. Poruszył tylko głową kilka razy, jakby to było wystarczającem powitaniem.

Chcąc zachować mą powagę wobec towarzyszów nie mogłem pozwolić, by barbarzyniec siedział i gestem dałem mu do zrozumienia, iż należy wstać. Odpowiedział wypluciem brudnej cieczy za balustradę przed nami. I spoglądając na mnie drwiąco, lecz z tą samą powagą na twarzy, rzekł coś niemuzykalnym głosem, czego nie zrozumiałem.

Na to Abdul, który zrozumiał jedno, czy dwa słowa zbliżył się żwawo i przemówił doń w jego ojczystym języku. Barbarzyniec jednak z trudnością zrozumiał z powodu wymowy Abdula. Ten ostatni objaśnił mnie potem, iż język mężczyzny nie wiele różni się od narzecza Amerykan, którego używali przed 11 wiekami.

Gdy wreszcie powstał i rozmawiał z Abdulem mogłem go lepiej obserwować. Był on wy-

soki i kościsty, z niezgrabnym karkiem, a na pierwszy rzut oka wyglądał na lat czterdzieści. Wkońcu przekonaliśmy się, iż nie miał lat trzydziestu. Jego płowa skóra pozbawiona włosów, czyniła go o wiele młodszym niż był w rzeczywistości. Wyraz jego twarzy głęboko mnie zastanowił. Wyrażał on głęboki smutek mimo, iż oczy były pełne wesołości; a usta miały drwiący wyraz. Zachowanie jego nie podobało mi się. Zdawało się, iż obecność tylu obcych żadnego na nim nie wywarła wrażenia i jakby mu było wszystko jedno czy go rozumiemy, czy nie. Abdul jednak poinformował mnie potem, iż pytał się on o nas dokładnie.

I oto co dowiedział się Abdul:

Ów Amerykanin ze swą żoną i jednym starcem, byli jedynymi ludźmi, którzy pozostali z całej rasy. Trzydziestu jeden zmarło w obecnem lecie. W starożytnych czasach kraj ów był zamieszkany przez miljony. Byli oni najpotężniejszym narodem na świecie. On sam nie umiał czytać. Miał dwa imiona — jedno z nich było „Jon" — drugiego zapomniał. Mieszkali oni w troje w owej świątyni ponieważ była ona chłodną. Kiedy była świątynia zbudowana i w jakim celu nie wiedział. Wskazał ręką na zachód i objaśnił nas, iż kraj jest tam pokryty zrujnowanemi miastami.

Skoro Abdul rzekł mu, iż jesteśmy przyjaciółmi i ofiarował mu śliczny nóż myśliwski wyciągnął przed siebie prawą rękę i tak trzymał ją. Przez moment Abdul patrzył nań ze zdziwieniem poczem nagle się zorjentował i swą prawicą ujął jego rękę i poruszył ją lekko w górę i na dół jest to interesującem, bowiem Abdul tłumaczył mi, iż w ten sposób Amerykanie witali się z sobą.

Potem weszliśmy do ogromnego okrągłego salonu pod kopułą. Salon ów jeszcze nosił znamiona dawnej piękności. Wzdłuż murów stały marmurowe posągi, otoczone zwojami bluszczu i spoglądające na nas melancholijnie. Tam również poznaliśmy chudego starca, którego głowa pozbawiona włosów i bezwłosa twarz pobudzała mnie do śmiechu.

Na prośbę Abdula gospodarz nasz zaprowadził nas do kilku mniejszych pokoi, by nam wskazać domowe życie Amerykan. Niepodobna sobie wyobrazić pełniejszej patosu mieszaniny chwały i ruin, bogactwa i nędzy, cywilizacji i barbarzyństwa. Stare meble, srebrne misy, bronzowe figury, nawet wysoko wartościowe obrazy były porozrzucane w pokoju obok najprymitywniejszych rzeczy. Było jasnem, iż starożytne sztuki były już zdawna zapomniane. Gdy powróciliśmy do okrągłego salonu, gospodarz nasz przez chwilę znikł w pokoju, którego nam nie pokazał. Wrócił niosąc kamienną wazę z niewielką szyjką, a za nim postępowała dziewczyna, która niosła puharki z miedzi i cyny. Wszystko to złożyła na zapadłą część kolumny, która im służyła jako stół...

Dziewczyna była naprawdę interesującą. Miała ładną główkę, delikatne rysy, płowe włosy, niebieskie oczy i spokojny, smutny wyraz twarzy, który mnie wzruszył.

Pozdrowiliśmy ją wszyscy, a Amerykanin wyrzekł kilka słów, które przyjęliśmy jako prezentację. Napełnił następnie z wazy pucharki i mówiąc coś, czego Abdul nie zrozumiał, podniósł ręce z czarką i dziwacznym ruchem przychylił ją do warg. Skoro to uczynił, Omar uchwycił me ramię i rzekł:

— Zupełnie jak z owej zjawy!

A następnie dodał, jakby do siebie:

— A dziś właśnie jest czwarty lipca!...

Lecz i on pił, jak wszyscy, bowiem pragnienie mieliśmy silne, a zapach złotego płynu był nader kuszącym. Smak miał rozgrzewający, był bardzo silny i rozweselający. Szybko uczuliśmy, iż jesteśmy bardzo szczęśliwymi.

I zdarzyło się wtedy, iż Hason popełnił nierozsądny czyn. Będąc blisko dziewczyny i olśniony jej pięknością przemówił do niej, jako do *Hurra-al-hussan* (anielska z pośród kobiet), czego naturalnie nie zrozumiała. Lecz mało mu tego jeszcze było — objął ramieniem jej kibić i chciał ją pocałować. Przerażona starała się uwolnić z jego ramion. Hason, trzymając swą drugą ręką jej podbródek, przykładał już prawie swe usta do jej warg, gdy nagle — starzec podniósł swą ciężką laskę i ze straszliwą szybkością spuścił ją na głowę mego towarzysza. Uderzenie laską czaszki aż zagrzmiało i rozległo się echem po kurytarzach. Józef Hason zmrużył ogłuszony oczy i zachwiał się. Lecz już w następnym momencie rzucił się na starca. Lecz na to wmięszał się do walki Amerykanin. Podbiegł szybko naprzód, zamknął w pięść rękę, z zadziwiającą szybkością wysunął ją naprzód, tak, że spotkała się z twarzą Hasona i uderzony — usiadł nagle na marmurowej posadzce, a krew obficie potoczyła się mu z nosa. Wyglądał pożałowania godny.

Ponieważ ów sposób walki był nam nieznany, ogarnęła nas konsternacja, sądziliśmy bowiem, iż jest on zabity. Jafar el-Beg, atletyczny zawadjaka o rozrosłem ciele, zaatakował Amerykanina, o którego drżałem. Lecz on znów wyciągnął rękę i Jafar el-Beg... usiadł. Była to smutna walka, na której widok ścisnęłoby się serce każdego Persa...

Wówczas Hason znowu wstał, purpurowy z gniewu. Z podniesionym mieczem natarł na naszego gospodarza. Starzec wziął udział w walce i wmięszał się między nich. Hason z bezmyślnem okrucieństwem rozciął mu głowę i obalił na ziemię. Przez chwilę młodzieniec stał zmięszany, potem porwawszy ciężką okutą na końcu laskę zabitego, poskoczył naprzód i szybciej niż się da powiedzieć wymierzył straszliwy cios w głowę Hasonowi, który runął na podłogę z rozpłataną czaszką.

Nastąpiło to momentalnie. Towarzysze moi dobyli broni i ruszyli na Amerykanina. Dziewczyna podbiegła naprzód, czy to w przestrachu, czy chcąc osłonić sobą kochanka, gdy nagle strzał z łuku marynarza przeszył jej serce.

Dało to Amerykaninowi siłę dwunastu ludzi. Ogłuszył dzielnego Mulaia ciosem, który zabiłby bawołu. Jak błyskawica spadała jego laska na czaszki Persów i zbliżał się do drzwi by się nie dać otoczyć. Czterech z naszej garstki poszło w kilku minutach śladami Hasona, Mulai, Jafar-el Beg, Talei u Din i Zentan marynarz, leżeli rozciągnięci na podłodze pomordowani lub poranieni śmiertelnie. Podbiegłem naprzód, by przerwać bitwę, lecz on nie zrozumiał mej intencji i wytrącił mi miecz z ręki i już, już podnosił laskę dla dania mi drugiego ciosu, gdy niespodziewanie szony Omar podbiegł by mnie uratować, nacierając na wroga mieczem. Lecz, niestety! — Amerykanin obronił się przed ciosem i zniżył szybko laskę na jego głowę, czyniąc z nim to, co z tamtymi.

Gdy Omar padł zauważyłem, iż Amerykanin miał liczne rany, bowiem moi towarzysze czynili wiele wściekłych ataków. Chwiał się, gdy zwracał się do drzwi i oparł się o mur. Wtedy oczy jego skierowały się na mnie z wyrazem chęci walki i pogardy zarazem. Wzroku tego chętnie bym zapomniał. I wtedy laska wypadła mu z ręki, chwiejnym krokiem dowlókł się do wielkiego portyku i runął ciężko na ziemię. Abdul podążył do niego i stwierdził, iż nie żyje...

Gdy zaś upadł zdarzyła się rzecz dziwna, niewytłumaczalna wprost, którą jednak Abdul i ja widzieliśmy doskonale:

Przed szerokiemi schodami i drzwiami owemi znajdował się posąg Jerzego Washingtona. Gdy Amerykanin stanąjąc się upadł w portyku z wyciągniętemi rękoma i śmiercią w oku, wtedy głowa posągu zwolna spuściła głowę — rzekłbyś w podzięce za mężną walkę.

Było to może smutne stwierdzenie żałosnego końca.

7 lipca.

Znowu na morzu!..

Tym razem w drodze powrotnej do Persji uwożąc naszych rannych i popioły pomordowanych. Popioły krajowców spoczywają pod wielką świątynią. Czaszkę *„Ostatniego Amerykanina"* podaruję muzeum w Teheranie.

KONIEC.

Od Redakcji. W najbliższym numerze „Nowości Ilustrowanych" rozpoczynamy druk powieści znanego autora „Dziwnej ulicy" **Kazimierza Andrzeja Czyżowskiego** pt.

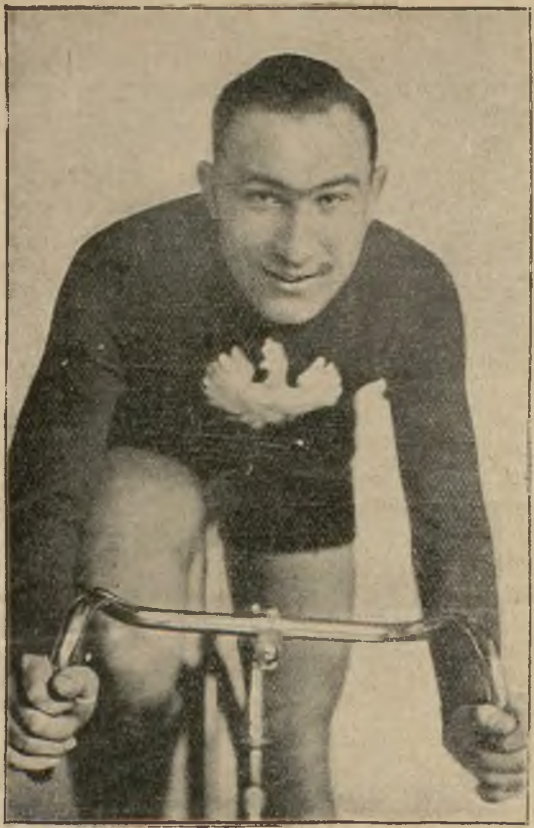
„SZEŚĆ GODZIN"

Będzie to powieść senzacyjna w najlepszem tego słowa znaczeniu. Subtelne psychologiczne zawikłania, tajemnicze zawiłości dróg i uczuć ludzkich, tragiczna zagadka, rozwiązana w końcu przez bezlitosną sprawiedliwą Nemezis, niesamowitość nastroju a wreszcie szczery polot poetycki i wysoki poziom artystyczny charakteryzują tę nową powieść naszą. Jednocześnie zapowiedzieć możemy czytelnikom, że autor wesołych i zjadliwych „Listów ze Lwowa" — znany satyryk Wł. RAORT przyrzekł nam nadesłać w czasie najbliższym szereg „Listów z podróży po Polsce", w którą się na czas letni wybiera.





1) Zofja Stryjeńska. Znakomita malarka na rusztowaniu w trakcie malowania dekoracji ściennych w domu Z. Kalinowskiego w Warszawie. 2) Zabawki polskie, projektowane przez Zofię Stryjeńską, wykonane w „Warsztatach Krakowskich".



Mistrz polski na rowerze: Palmę mistrzostwa Polski w drogowej jeździe na rowerze zdobył p. Wiktor Hechsman



Zwycięstwo polskiej jazdy w Gdańsku. W obecnie rozgrywających się wyścigach w Gdańsku znany jeździec polski rtm. Sosnowski zwyciężył w wielkim wyścigu z płotami o nagrodę Ostromecką bijąc o dziesięć długości pięć koni w polu. Ilustracja nasza przedstawia rtm. Sosnowskiego na **Raugrafie**



Mistrz kolarski. Mistrzem Polski w jeździe kołowej na rok 1924 został p. Jan Łazarski (Cracovia) Obok stoi mistrz zeszłoroczny, Stankiewicz.



Wspaniały szyszak z pawich piór. Miss Ellen Kinsley zdobyła pierwszą nagrodę w konkursie o najpiękniejszy strój głowy w Thalia-klubie w Filadelfji.



Heini, młodziutki artysta filmowy. w filmie p. t. „potęga dziecka".



Najmodniejsza suknia: Ulubienica publiczności, gwiazda filmu, Ossi Oswalda w najnowszej kreacji Wortha, różnokolorowej sukni z wiązanego jedwabiu

Szyszak z pawich piór.

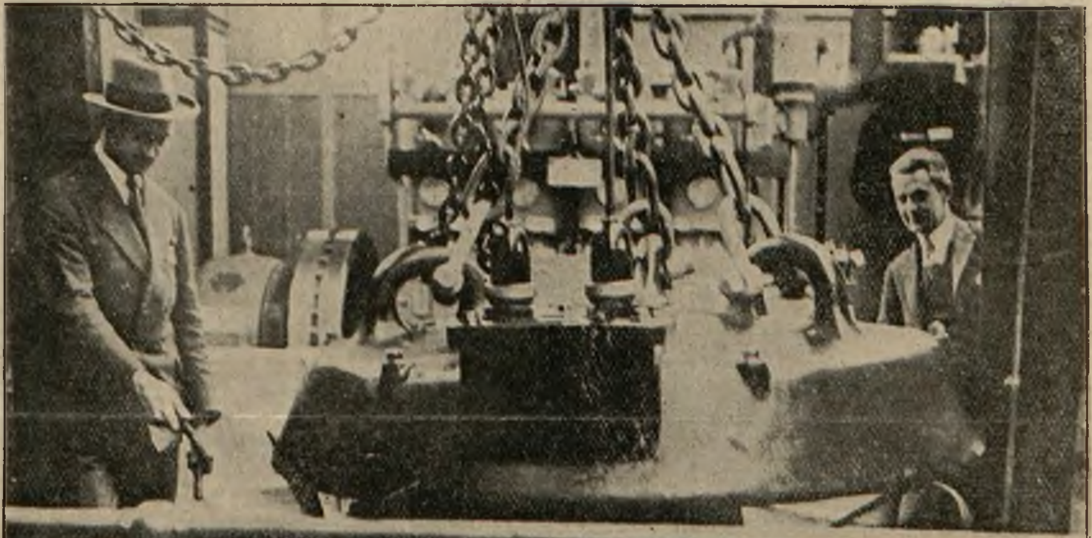
Amerykanki znane są ze swej ekscentryczności, a to zarówno w swych poglądach, jak również i w stroju. Nie zawsze jednak idzie to w parze z estetyką W tym wypadku jednak widzimy, że strój głowy, zamieszczony na illustracji przy całej swej dziwaczności nie razi brakiem smaku i robi wrażenie olśniewające.

Zdaje się, że nadobna amerykanka osiągnęła swój cel. Wszystkie koleżanki pozazdroszczą jej wrażenia, jakie wywarła na osłupionych widzach.

Nowa niemiecka gwiazda filmu.

Sztuka kinematograficzna znajduje swych adeptów nie tylko wśród ludzi dorosłych. Na ostatnich filmach wytwórni amerykańskiej widzimy roskosznego bobaska, Jacke Coogana, który gra rolę swą z taką znajomością sztuki aktorskiej, że wprawia w osłupienie najbardziej rutynowanych reżyserów. Jak szeroką popularnością cieszy się jego gra, świadczą o tem tłumnie zapełnione kinematografy.

Nic też dziwnego, że budzi ona zazdrość u innych reżyserów, którzy za wszelką cenę starają się zdobyć dla swych wytwórni równie miłych, malutkich artystów. Udało się to wytwórni Meach-Film w Berlinie — która zaangażowała niedawno małego Heini, który rokuje najlepsze nadzieje na zostanie słynną gwiazdą filmową. Odgrywa on obecnie rolę głowną w filmie p. t. „Potęga dziecka".



Największy elektromagnes. Na wystawie Wszechbrytyjskiej w Wembley demonstrowano największy elektromagnes, jaki kiedykolwiek był skonstruowany.

W dwadzieścia lat po maturze.

Do jednych z najliczniejszych zjazdów koleżeńskich należał, bezwątpienia, zjazd Rzeszowiaków, wychowanków gimnazjum rzeszowskiego, którzy przed 20 laty w liczbie 76 opuścili mury starodawnego, jeszcze czasy Kochanskiego pamiętającego, zakładu, aby z "patentem dojrzałości" rozbiedź się na wszystkie strony.

Zjazd był liczny, bo zgromadził b. abiturjentów obu oddziałów. Nie wszyscy — niestety — jawić się mogli, bo 12 zmarło, kiku losy zapędziły do Ameryki a niektórzy złożeni chorobą przysłali tylko usprawiedliwienie wraz z życzeniami.

Wśród obecnych znaleźli się prof. U. J. Dr. St. Kot, Witold Bunikiewicz (poeta i dramaturg) St. Ruzamski (Rustan) znany dowcipny feljonista z „Rzeczpospolitej" ks. Kwolek, prof. teologji i Kanclerz biskupi, prof. T. Biliński, dziennikarz T. Wolfenbury, szef sekcji P. P. w Min. spraw wew. Dyr. A. Kopacz i w. i. zajmujących wybitne stanowisko w hierarchji społecznej.

Natomiast nie dopisali b. egzaminatorowie, z których zaledwo trzech żyje jeszcze a i ci przybyć nie mogli. Przybył tylko b. dyrektor radca Nogaj ze Lwowa, ktory był przedmiotem owacji ze stronyy b. wychowanków. Profesorowie dawni, obecny wicemin. T. Łopuszański i prof. Uniw. Poznańskiego Dr. Wilhelm Friedberg nadesłali usprawiedliwienia wraz z serdecznemi pozdrowieniami.



W dwadzieścia lat po maturze: Uczestnicy zjazdu z dawnymi i obecnym dyrektorem gimnazjum.

Po nabożeństwie odprawionem przez b. katechetę ks. Dr. Chmielnikowskiego odbyło się już w sali odczytanie spisu grona profesorskiego i uczniów poczem z kolei nastąpiła t. zw. „spowiedź" każdego z uczestników zjazdu zawierająca krótki opis przebiegu życia.

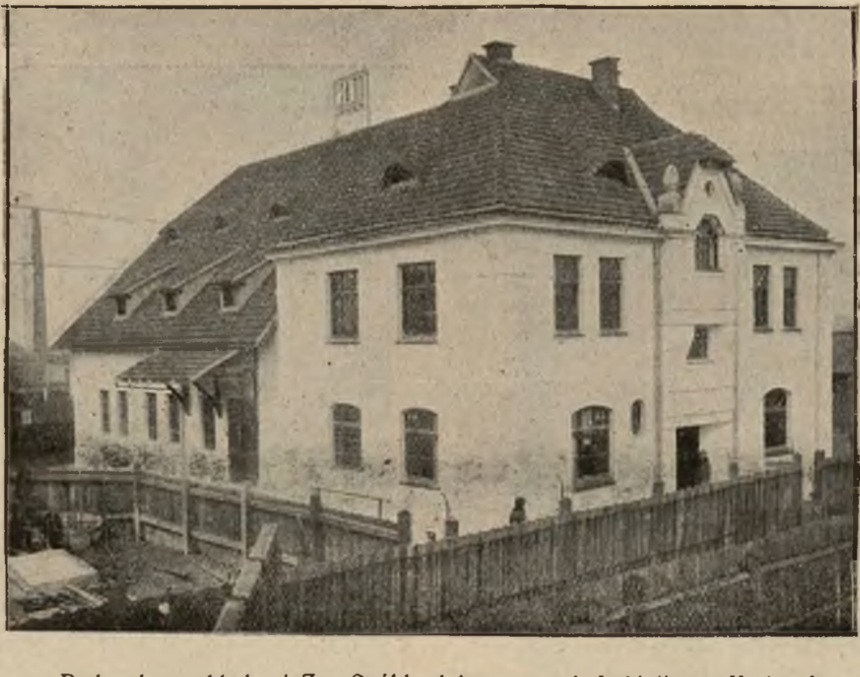
Po części „oficjalnej" zjazdu i wspólnej fotografji, odbył się obiad, w którym wzięli udział obok byłych uczniów radca Nogaj, ks. Chmielnikowski, obecny dyr. gim. p. Jasiewicz i ks. Dr. Turkowski. W czasie objadu, który przeciągnął się wśród ożywionej i serdecznej rozmowy aż do wieczora, wygłoszono szereg mów, z których na wyróżnienie zasługują mowy prof. Dr. Kota i dyr. Kopacza, którzy barwnie i plastycznie stawili przed oczy ową epokę „wrzenia i naporu", kiedy to w „kółkach samokształcenia pozaszkolnego", niechętnie widzianych przez władze szkolne, „wykuwano sobie hartowną duszę", przypomnieli owe organizacje „tekistów i promienistych", które mimo pozornych różnic politycznych łączyło jedno pragnienie t. j. uzyskanie jak największej sumy wiedzy, a w związku z tem wyrobienie jak najszerszego „światopoglądu".

Uchwaliwszy najbliższy zjazd za lat pięć, opuszczali uczestnicy Rzeszów pod niezatartem wrażeniem górnie przeżytych chwil, zacieśniwszy z powrotem rozluźnione przez czas i oddalenie węzły dawnej przyjaźni i koleżeństwa.

Ważna placówka gospodarcza.

W rzędzie spółdzielni małopolskich wybitne miejsce zajmuje Związek Spółdzielni jajczarskich „Jajo" w Krakowie. Założony z inicjatywy Dra. Marjana Langa w roku 1919 stał się dziś poważną centralą handlową, rokującą jak najlepsze nadzieje na przyszłość.

W czerwcu 1923 r. przeniósł Związek siedzibę swoją z ulicy Wolskiej do własnych zabudowań przy ulicy Łokietka, tam bowiem na parceli położonej w pobliżu dworca towarowego, a obejmującej około 1000 sążni kwadratowych, stanął murowany, dachówką kryty budynek, długi na 30 metrów, szeroki 16 metrów. – W budynku tym znajduje się piwnica z 15 basenami żalazobetonowemi do Konserwacji 15 wagonów jaj pracownia z prześwietlarnią, biuro magazyniera i drobnej sprzedarzy. Na pierwszem piętrze mieszczą się biura Zarządu, pracownia stolarska, oraz skład skrzynek, na drugiem piętrze suszarnia wełny drzewnej do pakowania jaj.



Budynek ze składami Zw. Spółdz. jajcz. przy ul. Łokietka w Krakowie.

W ciągu lata i jesieni 1923 r. powstał drugi budynek jednopiętrowy, obejmujący na parterze garaż, na piętrze mieszkania dla robotników. Obok niego wybudowano magazyn drewiany 30 metrów długi, przeznaczony na materjał do opakowania.

Obecnie buduje się dom administracyjny.

Zabudowania te stanowią całość odpowiadającą wszystkim wymaganiom wzorowej techniki handlu jajczarskiego. Zapewniają one możność wydatnego zwiększenia agend handlowych oraz zastosowanie się przy przeróbce jaj do wybredniejszych wymagań rynków zagranicznych. Inwestycje te postawiły Związek „Jajo" na pierwszem miejscu w rzędzie firm zajmujących się handlem jaj w Polsce i umocniły współdzielczą organizację jajczarską. –

Zagraniczni importerzy, zwiedzający te magazyny stwierdzają, że są one postawione na wyskości najwyższych wymagań techniki i w niczem nie ustępują tego rodzaju urządzeniom zagranicą.

Projekt tych budowli, budowę i kierownictwo powierzył Związek p. Wiktorowi Miarczyńskiemu, znanemu i mającemu już pewne tradycje w swym zawodzie architektowi i budowniczemu w Krakowie, który po przeprowadzeniu odpwiednich studjów w dziale jajczarkim wywiązał się ze swego zadania w sposób praktyczny, ekonomiczny i estetyczny ku zupełnemu zadowoleniu Związku.



W znanej szkole śpiewu prof. St. Bursy, która już szereg wybitnych śpiewaków wyszkoliła scenom polskim odbyło się ostatnio zamknięcie roku i popis. Ilustracja nasza przedstawia słuchaczy z kierownikiem szkoły, sympatycznym prof. Bursą pośrodku.





Tajemnicze morderstwo w Przegorzałach: 1) S. p. Natalja Koppoldówna. 2) Wyrafinowane narzędzie zbrodni. 3) Trup ofiary w dniu znalezienia.

Tajemnicze morderstwo w Przegorzałach.

Przed paroma tygodniami rozeszła się po Krakowie wiadomość, że w okolicy plaży wojskowej znaleziono zwłoki zamordowanej młodej kobiety, z dwiema ranami sztyletowemi w okolicy serca. Szyja owinięta była chustką, z której dla niepoznaki nieznany morderca wyciął monogram. Szeroko rozpisywały się o tem pisma, krążyły po mieście liczne przypuszczenia, wreszcie sprawa ucichła, ludzie zapomnieli o niej, a tylko niezmordowane organa policyjne rozpoczęły snuć sieć, sieć misterną domysłów, przypuszczeń, możliwości, a wreszcie wpadły na trop pewny, nieomylny.

Zagadka była niezwykle trudna do rozwiązania. Bo oto leży przed nami trup kobiety, co do której nie posiadamy żadnych danych, a sprawcy do tego czasu mogli umknąć i chyba jakiś niezwykły zbieg okoliczności może złoczyńcę postawić przed kratki. Jednak Ekspozytura śledcza nie liczy nigdy na pomyślny zbieg okoliczności i działa nieprzerwanie, gromadzi fakta, aż wreszcie po nitce dochodzi do kłębka.

Sprawę w swoje ręce dostał p. komisarz Romański i natychmiast zajął się gorliwie zebraniem wszelkich wiadomości, dotyczących zamordowanej. Nazywa się ona Natalja Koppold. Wśród wielu osób, które weszły w sferę jej życia najbardziej podejrzanym wydał się niejaki Henryk Seweryn, kilkakrotnie karany za kradzieże i ścigany listami gończymi. Skonstatowano, że w dniu zabójstwa był on w Krakowie i na drugi dzień wyjechał w niewiadomym kierunku. Wiadomości te pochodziły od mocno podejrzanej kobiety lekkiego prowadzenia się, rodem z Czechosłowacji, która jak później się wykryło, brała również udział w morderstwie. Zaalarmowano natychmiast organa policji w Skawinie i za zęto śledzić podejrzanego opryszka. Po paru dniach Seweryn, czując, że policja nastepuje mu na pięty, wyjeżdża do Krakowa, by zaopatrzyć się w środki pieniężne na dalszą ucieczkę, i tu dopiero, funkcjonarjusze policji, mając już dostateczny materjał dowodowy, aresztują mordercę, który jednak do niczego nie chce się przyznać, twierdząc, że o całej sprawie nic mu nie wiadomo. W trakcie prowadzenia go do aresztu, Seweryn rzuca sztylet, który później został znaleziony i to było dowodem, druzgocącym wszystkie jego zapewnienia.

Sztylet ten musi mieć już swoją ciekawą i tragiczną historję. Kształt ma niezwykle oryginalny, jest niewątpliwie stary, a wykonaniem zdradza swe południowe pochodzenie. We Włoszech używano takich sztyletów w czasach ponapoleońskich. Rękojeść zrobiona dość prymitywnie z mosiądzu i twardego drzewa, a całe wyrafinowanie przejawia się dopiero w klindze,



Tajemnicze morderstwo w Przegorzałach. Morderca Natalji Koppold, Seweryn.

nie pełnej, lecz składającej się z dwóch pojedynczych ostrzy, stopionych na końcu. Komisja lekarska orzekła, że rany, zadane tą bronią są prawie zawsze śmiertelne, gdyż rozszarpują wewnątrz mięśnie i ścięgna. Zkąd mógł Seweryn przyjść do posiadania tego sztyletu, pozostaje narazie tajemnicą.

Skonstatowano dalej, że zbrodniarz nosił się od dłuższego czasu z zamiarem dokonania mordu, a tem była zemsta osobista, W krytycznym dniu wybrał się on wraz z wspólnikami w pobliże plaży wojskowej, gdzie przebywała Koppoldówna. Korzystając z samotności ofiary, rzucił się na nią i, chwytając za gardło, rzucił dziewczynę w zarośla, poczem zadał jej dwa uderzenia sztyletem w okolicę serca. Następnie okręcił jej szyję chusteczką z wyciętym monogramem i zaczął dusić, zapewne w obawie, by ofiara krzykiem nie zaalarmowała ludzi.

Po dokonaniu mordu, Seweryn zabrał torebkę ze znaczniejszą kwotą i dokumentami, poczem umył ręce z krwi we Wiśle.

Współwinni, którzy czekali w pobliżu, widząc całą grozę dokonanego mordu, zbiegli. Są to bliscy znajomi mordercy, Stefan Stawiarski i Ludwika Pietrzyk.

Postępowanie dowodowe trwa w dalszym ciągu, obciążając coraz bardziej morderców.

* * *

Podziwiać należy sprężystość i energję, z jaką policja prowadziła całą tę smutną sprawę. Śledztwo pozostawało w rękach komisarza Romańskiego, który wykazał niebywałą rutkość. Zamieszczamy również podobiznę p. Józefa Madeja, wywiadowcy P. P., który niezmordowaną swą pracą przyczynił się do wykrycia tajemnicy.



Tajemnicze morderstwo w Przegorzałach: Pan komisarz Romański, w którego rękach spoczywało śledztwo.

Pokaż jak piszesz — powiem Ci jak się spisujesz.

I. Bon grafologiczny.

Imię: ....

Dla otrzymania oceny grafologicznej swego charakteru należy na bonie wypisać swe imię. — Nie więcej tylko swe własne imię, Następnie należy bon wyciąć i załączywszy cztery znaczki pocztowe na list, — przesłać do redakcyi. Odpowiedź zamieszczona będzie w „Nowościach".

„Nowości Ill." z dnia 12 lipca 1924 roku.

UWAGA: 1) Ważne są tylko ostatnie „bony".
2) Tylko na „bonach" umieszczone imiona zostaną uwzględnione.
3) Bony z więcej niż *jedną* próbką pisma idą do kosza.
4) Wszystkie *ważne* „bony" ukażą się za porządkiem napływu a o danej *liczbie* porządkowej można się w „Instytucie" dowiedzieć.

167) **Natalja** należy do ludzi słabowitych, przedelikatnionych, bojaźliwych a przecież namiętnych i wybitnie inteligentnych.

168) **Franciszek** jest człowiekiem nerwowym, porywczym, podejrzliwym, niewytrwałym ale szybko i twórczo myślącym. Dziwnie przedstawia się stan emocjonalny uczucia, który jest uparcie pesymistyczny, przecież stale pragnie i walczy.



Tajemnicze morderstwo w Przegorzałach: Starszy wywiadowca P. P., p. Józef Madej.

OGŁOSZENIA.

CENY OGŁOSZEŃ: Przed tekstem (za tytułówką). Cała kolumna 500 Zł pół kolumny 250 Zł. 1/4 kolumny 140 Zł. 1/8 kolumny 75 Zł. — Wiersz milimetrowy jednoszpaltowy 75 groszy.

Część redakcyjna.			Część inseratowa.		
Cała kolumna opisowa redakcyjna	300	zł.	Cała kolumna	200	zł.
1/2 „	150	„	1/2 „	100	„
1/4 „	75	„	1/4 „	55	„
1/8 „	40	„	1/8 „	30	„
wiersz milimetrowy jednoszpaltowy	40	gr.	wiersz milimetrowy jednoszpaltowy	15	gr.

Za 1 cm. kliszy 15 groszy.

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane“ pod zarządem L. Gronusia (firma Friedlein